

Lee Wilkinson

Tajemniczy milioner

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dave Benson wszedł do ciemnej klitki, pełniącej funkcję biurowego sekretariatu, i starannie zamknął za sobą drzwi. Po porannym niespodziewanym telefonie uzgodnili, że tylko on ma wystarczającą wiedzę na temat komputerów, aby przyjąć tego klienta.

Eleanor, zajęta przyrządzaniem herbaty, podniosła na niego pytający wzrok.

- Wyobraź sobie, że ten ważniak to lord Robert Carrington, finansista i milioner - wyjaśnił jej partner.
- I oferuje robotę, o jaką nam chodzi. Najwidoczniej ma już dość Londynu i chce sobie założyć biuro w swojej rezydencji na wsi, gdzieś koło Little Meldon. Oczywiście ma być wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt komputerowy - dodał, lecz w jego twarzy nie dostrzegła spodziewanego zadowolenia. Sama bardzo się ucieszyła.

- No to świetnie!

Po twarzy Dave'a przemknął grymas.

- Byłoby świetnie, gdybym się z nim dogadał, ale to bardzo marudny gość. Wie, że jesteśmy małą firmą, i kręci nosem, czy podołamy, tym bardziej że w grę wchodziłyby dojazdy. Zapewniałem go, że damy sobie radę, ale jakoś nie mogę faceta przekonać.

Nalał sobie kubek herbaty, usiadł na jedynym, wykoślawionym krześle i sięgnąwszy po imbirowy herbatnik, schrupał go w milczeniu.

Eleanor zerknęła przez małe okienko na ruchliwą ulicę. Podłoga zadrżała, gdy otworzono bramę i do magazynów sklepowych na dole wjechała dostawcza ciężarówka.

- Nie powinieneś do niego wrócić? - spytała, widząc, że Dave nie rusza się z miejsca.

- Na razie gada przez komórkę. Jak tylko zapiszczała, ten buc wyprosił mnie, jakbym był gońcem.

- Na miłość boską, bądź dla niego grzeczny - powiedziała w popłochu. Tego jeszcze brakowało, żeby zniechęcił rozwojowego klienta! - Nie musi wiedzieć, że masz go w poważaniu.

- On już i tak skapował. Ścinamy się od samego początku. Może ty spróbujesz go obłąskawić? W gazetach pisali, że podobno lubi ładne kobiety.

- Zobaczę, co się da zrobić. - W szarych oczach Eleanor zabłyśły ogniki. - Ale z artykułu, który o nim czytałam, wynikało, że to twardy orzech do zgryzienia.

- Jeśli nie uda się nam go zgnieść, będzie kiepsko. W ogóle zakrawa na cud, że taki gość jak Carington zgłosił się właśnie do nas. Nie możemy stracić tej szansy, więc zgadzaj się na wszystko, czego sobie zażyczy.

- Nie widzę sensu w robieniu obietnic, których nie będziemy mogli dotrzymać.

- Do diabła, Ella, odpuść sobie tę etykę - zbył jej zastrzeżenia machnięciem ręki. - Zanim facet się

zorientuje, że czegoś tam nie możemy mu dostarczyć, robota już będzie w toku. Ważne, żeby podpisać umowę, a potem będziemy się martwić, co dalej. Naszym atutem jest szybkość. On chce, żebyśmy od razu wzięli się do dzieła i skończyli jak najszybciej. Duże firmy mają pełny portfel zamówień, a to oznacza czekanie. Powiedz mu, że możemy zacząć choćby od poniedziałku, bo później mamy inną, pilną robotę, więc także zależy nam na terminie. Aha, i będzie nam potrzebna zaliczka na zakup sprzętu.

Oczywiście nie było następnej roboty. Portfel zamówień ich firmy był rozpaczliwie pusty.

- A czy Greenlee nie...

- Nie łudź się, nie sprzeda nam nawet podkładki pod mysz, póki nie spłacimy długu. Mamy u niego totalny szlaban. Musisz wydębić zaliczkę.

- Ale przecież na początku tygodnia wysłałam mu czek - zaprotestowała.

- Był bez pokrycia, kotku. Dostałem od niego rano paskudny mail i jeszcze paskudniejszy... z naszego banku.

- Co? To chyba pomyłka! Jestem pewna, że mieliśmy na koncie dość gotówki.

- Tak się składa, że nie. Kiedy odbierałem od Burtona pakiet programowy, zażądał należności od ręki. Wypisałem mu czek i staliśmy się bankrutami.

- Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Nie chciałem cię martwić.

- I głupio zrobiłeś! Zamiast wysłać czek bez po-

krycia, poprosiłabym o zwłokę. Oszczędziłoby to nam wstydu i...

- Nie mędrkuj teraz, tylko rób, co do ciebie należy - uciał. - Carrington to nasza ostatnia deska ratunku, więc obiecaj mu nawet gwiazdkę z nieba, jeśli sobie zamarzy.

Zimna stanowczość w jego głosie zatrwożyła Eleanor. Instynkt podpowiadał jej, że jeśli nie dostaną tego zlecenia, może stracić nie tylko firmę, ale i Dave'a. A wtedy jej przyszłość będzie równie pusta i szara, jak przeszłość.

Wzięła głęboki oddech i zerknęła w popstrzone lustro, żeby sprawdzić swój wygląd.

To, co zobaczyła, nie dodało jej otuchy. Od grafitowego kostiumu ostro odcinała się trójkątna twarzyczka, blada, wymizerowana i naznaczona napięciem. Leciutkie pasemko płowych włosów wymknęło się ze starannie uczesanego koka. Wyprostowała się, wzięła tacę i przeszła do pokoju recepcyjnego:

Przy oknie, tyłem do wejścia, stał wysoki, barczysty, jasnowłosy mężczyzna. Kiedy odwrócił się niespiesznie, okazało się, że, wygląda zupełnie inaczej, niż sobie go wyobraziła, sugerując się wzgardliwą oceną Dave'a. Spodziewała się zobaczyć pewnego siebie pięćdziesięciolatka o raczej topornej urodzie, ubranego bogato, lecz krzykliwie i epatującego wystudiowanym męskim urokiem.

Tymczasem Robert Carrington musiał niedawno przekroczyć trzydziestkę. Ubrany był w stonowany, szary biznesowy garnitur i gładki niebieski krawat.

Twarz miał kościstą, o zdecydowanych rysach i choć emanowała inteligencją, Ella uznała, że potrzeba sporo dobrej woli, aby uznać go za przystojnego. Najbardziej intrygujące były oczy oraz ich oprawa, o kilka tonów ciemniejsza od włosów. Jeśli odznaczał się jakimś wdziękiem, skrywał głęboko ów atut.

Kiedy odstawiła tacę na biurko i podeszła, żeby się przywitać, przekonała się, że przewyższa ją wzrostem co najmniej o kilkanaście centymetrów.

- Panie Carrington... Jestem Eleanor Smith.

Gdy ujął jej dłoń, spojrzała mu prosto w oczy, stwierdzając, że są zielono-brązowe, żółto nakrapiane. Jak wilcze ślepie, dodała w myślach.

- Z firmy Smith i Benson?

- T-tak - wyjąkała jak zahipnotyzowana.

- I występuje pani także w roli sekretarki? - spytał ironicznie, spoglądając na tacę z herbatą.

- Chwilowy niedobór personelu - bąknęła, przeklinając zdradziecki rumieniec.

Cofnęła się i żeby poczuć się pewniej, usiadła za biurkiem w dużym skórzanym fotelu, wskazując lordowi obrotowe krzesło naprzeciw siebie. Przysunął je sobie z lekko rozbawioną miną.

- Mleko? Cukier? - spytała, sięgając po imbryk.

- Odrobinę mleka, bez cukru. Jestem dostatecznie słodki.

Nie uda ci się, ty czarusiu!

Podając mu zbyt szybkim ruchem napełnioną filiżankę, przechyliła ją. Trochę herbaty ulało się na spodek i prysnęło na spodnie Carringtona.

Zmrożona przerażeniem, patrzyła, jak milioner spokojnie wyjmuje chusteczkę i usuwa ślady wypadku.

- Bardzo przepraszam - szepnęła. - Nie poparzył się pan?

- Nie w strategicznych miejscach - odparł bezczelnie, wrzucając chusteczkę do kosza.

- Nalać panu nową filiżankę?

- Niech mnie pani nazwie tchórzem, ale nie podejmę ryzyka - uśmiechnął się przepraszająco, choć patrzył na nią wzrokiem kocura, który bawi się myszą.
- Zresztą niedużo się rozlało.

Nie ulegało wątpliwości, że bawi go jej konsternacja. Dave miał rację, lord Carrington to wyrachowany drań. Mimo to pod żadnym pozorem nie wolno okazać mu niechęci. Dość już narozrabiała przez swoją skandaliczną niezdarność.

- Przepraszam - powtórzyła, a mężczyzna machnął niedbale ręką.

- Głupstwo, ale sobie proszę też nalać. Inaczej gotów jestem pomyśleć, że naprawdę jest pani sekretarka, która tylko udaje szefową.

Zmuszając się do uśmiechu, usłuchała go, a Carrington uniósł swoją filiżankę jak do toastu.

- Cóż, na zdrowie - powiedział i upił łyk. - Ale, ale... - ożywił się i z miejsca przyjął biznesowy ton.

- Ciekaw jestem, ilu macie pracowników. Benson kłuczył, kiedy go o to pytałem.

- Na pewno jednak wyjaśnił panu, że jesteśmy małą firmą i...

- Ilu? - przerwał twardo.
- W tej chwili jest nas dwoje - przyznała z przy-musem.
- Rozumiem.
- Wszystko zależy od charakteru zlecenia i terminu wykonania - wyjaśniła skwapliwie. - Jeżeli potrzebu-jemy stolarzy, elektryków, monterów czy jakichkol-wiek innych specjalistów, zatrudniamy ich czasowo. Na przykład, jeśli chodzi o pana...
 - Co się stało z Bensonem? - wpadł jej w słowo.
- Wystraszył się mnie i zrejterował?
 - Miał umówione spotkanie - odparła, zła, że jej przerwał.
 - Powiedzmy, że stchórzył. I żeby mnie zmiękczyć, przysłał piękną kobietę, tak?
 - Raczej nie należę do piękności - odparowała, po-irytowana. Coraz bardziej przyznawała rację Dave'owi.
- A poza tym jestem w firmie równorzędnym partne-rem i nikt nie ma prawa nigdzie mnie posyłać - oświadczyła z godnością.
 - Brawo - przykłaśnął, po czym niespodziewanie wstał, obszedł biurko, bezceremonialnie ujął Eleanor pod brodę, obrócił twarzą ku sobie i przez długą chwilę przy-glądał się jej uważnie.
- Siedziała nieruchomo jak sparaliżowana. Wielkie, szare oczy patrzyły na niego spod ciemnych, jaskół-czych brwi. Miała zgrabny, prosty nos i lekko wysta-jące kości policzkowe. Szerokie, kuszące usta kontra-stowały z ostrym podbródkiem.
- Robert, wodząc czubkiem palca po jasnym pasemku

blizny, idącej od jej lewej skroni wzdłuż policzka, zapytał cicho:

- Dlaczego nie uważa się pani za piękną?
- Bo mam lustro - burknęła.
- I co ono pani mówi?
- Że jestem bezbarwna. Nijaka. Oszpecona.
- Jest pani do siebie uprzedzona. Trzeba pytać innych, jak panią widzą. Na przykład narzeczonego - dodał, zerkając na pierścionek na jej palcu.

Wciąż czuła się napiętnowana jego dotykiem i całą siłą woli starała się opanować. Miała najszczerzą ochotę uciec i skryć się przed tym niesamowitym człowiekiem, lecz musiała trwać na posterunku.

Dobro firmy nade wszystko, powtarzała sobie jak zaklęcie. To tylko interesy, nic więcej. A w interesach wiele chwytów jest dozwolonych.

- Obawiam się - powiedziała ostrożnie - że odbiegliśmy od tematu, a pański czas jest na pewno zbyt cenny, by go marnować.

- Och, nie przesadzałbym. Bywa, że mała dygresja jest pożyteczna. Pomaga się skupić.

- Rozumiem, ale skoro już mamy ten etap za sobą, może wrócimy do interesów? - odparła tonem dającym do zrozumienia, że nie lubi tracić czasu i nie potrzebuje dygresji, aby się skupić.

- Cóż, jeśli jest pani zbyt zajęta, by poświęcić mi choć...

- Ależ skąd! - zaprotestowała gwałtownie. - Nie to miałam na myśli. Jestem gotowa poświęcić panu tyle czasu, ile trzeba - mówiła szybko, ujawniając całą

desperację. - Pan przecież wie - ciągnęła, decydując się postawić wszystko na jedną kartę - że zależy nam na pańskim zleceniu i zrobimy wszystko, aby wywiązać się z niego jak najlepiej.

- Jak długo się tym zajmujecie? - zapytał, znów wracając do chłodnego, biznesowego tonu.

- Niecały rok - przyznała. Goraz mocniej utwierdziła się w przekonaniu, że nie ma sensu niczego ukrywać. Miała do czynienia z wytrawnym graczem, który przejrzał ją na wylot.

- I od początku macie tu swoje biuro? - rozejrzał się wokół wzrokiem, w którym trudno było się dopatrzeć podziwu.

- Tak - przyznała, zastanawiając się, jaką minę zrobiłby, widząc ten lokal w chwili, gdy go wynajęli.

- Hm - mruknął. - Czy mógłbym wiedzieć, jak doszło do powstania firmy Smith i Benson?

Pytanie, choć zadane uprzejmym, niemal zdawkowym tonem, było praktycznie rozkazem. Nie miała wyjścia, musiała spowiadać się dalej.

- To był pomysł Dave'a. Komputery i komunikacja sieciowa nie mają dla niego tajemnic. Jest w tym naprawdę świetny.

- W takim razie jaka jest pani rola? - indagował.

- Zanim zostaliśmy współnikami, Dave namówił mnie na naukę praktyki handlowej.

- W jakim zakresie?

- Wyposażenie i wystrój biura, instalacja i zastosowanie najnowszych urządzeń technicznych, oprogramowanie komputerów.

- Jaki college pani ukończyła?
- Żadnego. To były specjalne kursy wieczorowe.
- Dlaczego wieczorowe?
- Musiałam zarabiać na życie.
- Gdzie pani pracowała?
- W hotelu.
- Jako recepcjonistka?
- Nie. Dlaczego?
- Ma pani miły głos. Ładnie się pani wystawia.

Wyraźnie czekał na odpowiedź. Nagle owładnęła nią uparta, dziecięca duma. Miała nadzieję, że gdy szanowny lord pozna prawdę, straci wreszcie niezdrowe zainteresowanie jej osobą oraz firmą.

- Byłam zatrudniona w kuchni - wypaliła.

Lord nawet nie mrugnął okiem.

- I równolegle zaliczała pani ten kurs? - drążył spokojnie.

- Tak.
- Nikt pani nie pomagał finansowo?
- Nikt.
- A Benson?
- Nie było go na to stać.

- Czemu w takim razie, zamiast zatrudnić się gdzieś, zdecydowała się pani na własny biznes, w dodatku ze współnikiem, któremu brakowało kapitału?

- Oboje tego chcieliśmy. Pracować na własny rachunek, nie mieć nad sobą żadnych szefów.

W gruncie rzeczy to ona od początku pragnęła mieć własny interes. Z początku myślała o małym antykw-

riacie albo o kameralnej herbaciarni, najchętniej połączonej z przytulnym mieszkaniem na pięterku.

Coś bezpiecznego i jednocześnie dającego niezależność.

Dopiero później w marzeniach pojawił się Dave.

W sierocińcu była cichym, zamkniętym w sobie dzieckiem, o którym dyrektorka mówiła, że wiecznie ma głowę w chmurach. Choć uważana za inteligentną, uczyła się miernie, nie wybijając się w żadnej dziedzinie.

Po dojściu do pełnoletności podziękowała za opiekę i porzuciła szarzynę Sunnyside, wynosząc stamtąd - oprócz kilku łausków - trwałą miłość do książek i muzyki oraz umiejętność przyrządzania najprostszycy potraw.

Na początek zatrudniła się jako pomoc kuchenna w pobliskim hotelu. Była to uciążliwa, czasochłonna harówka, ale miała swoją dobrą stronę w postaci darmowego wiktu i służbowego pokoiku.

Był ciemny, z widokiem na podwórkowe śmietniki, ale nie musiała go z nikim dzielić. Tam ustanowiła swój azyl, swoje królestwo. Tam czuła się wolna. Po raz pierwszy w życiu kierowała swoim losem. Płacono jej marnie, ale nie wydając nic na mieszkanie i jedzenie, była w stanie oszczędzać.

W hotelu pracowali przeważnie młodzi ludzie i często proponowali Elli, by przyłączyła się do nich, gdy szli się zabawić. Odmawiała konsekwentnie, choć grzecznie, więc z czasem uznano ją za dziwaczkę i przestano nagabywać.

Kiedy tylko ustalili się rytm jej hotelowej pracy,

zaangażowała się do pomocy w sąsiednim supermarkecie przy układaniu towaru na półkach. Niebawem awansowała na kasjerkę, co sprawiło, że wracała do domu tak późno, że nie stać jej było nawet na chwilę marzeń przed zaśnięciem.

Ale w tamtym czasie nie było jej to potrzebne. Miała wyznaczony cel i ślepo do niego dążyła. Po trzech latach wyteżonej pracy i skrzętnego oszczędzania zaczynała dobijać do portu. Jeszcze rok i plany będą mogły nabrać realnych kształtów.

W pewien piątkowy wieczór, tuż przed zamknięciem supermarketu, przy jej kasie stanął młody człowiek w dżinsach i wyświechtanej marynarce, opróżniając koszyk z jakichś tanich zakupów.

DAVE!

Choć nie widziała go od ponad pięciu lat, nie miała wątpliwości. Ta sama ładna twarz, ten sam cienki nos, brązowe oczy i pukiel czarnych włosów zwisający nad czołem jak znak zapytania.

Serce Eleanor na moment zgubiło rytm.

On także wychowywał się w sierocińcu Sunnyside. Odkąd pamiętała, skrycie się w nim podkochiwała, marząc o chwili, kiedy wreszcie ją dostrzeże.

Ale był trzy lata starszy i zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Kiedy któregoś dnia zniknął bez pożegnania, długo się smuciła. Była przekonana, że już nigdy go nie zobaczy.

- Hej, to przecież Ella! - uśmiechnął się, odsłaniając nieco krzywe zęby. - Zjawa z przeszłości.

- Dziwię się, że mnie pamiętasz - bąknęła nieśmiało.

- Przybyło ci trochę latek, ale niewiele się zmieniłaś.

- Ty też.

- Kiedy skończyłaś z Sunnyside? - zapytał.

- Ponad trzy lata temu.

- Musiałaś się nielecho cieszyć. Boże, jak ja zniechęciłem to miejsce - po jego ładnej twarzy przemknął cień. - I co potem porabiałaś?

- Zaczęłam pracować.

- Jesteś z kimś?

- Nie, ja... - spłoszona rozejrzała się wokół. - Słuchaj, nie możemy tu dłużej rozmawiać. Klienci czekają.

- Niech to diabli! - zaklął, macając się po kieszeniach. - Zapomniałem portfela. Będę musiał oddać zakupy.

- Nie masz karty kredytowej?

- Została w portfelu.

- Dobrze, zabieraj koszyk. To drobna suma. Zapłacę za ciebie.

- Słuchaj, Ella, o której kończysz?

- Za jakieś dziesięć minut.

- Zaczekam przy wyjściu.

Kiedy wyszła, stał na ulicy, kuląc się w przenikliwym, wrześnieym wietrze.

- Capuchin jest jeszcze otwarty, jeśli masz chęć na gorącą... - zaczął. - Cholera, co ja gadam, przecież nie mam forsy - zreflektował się.

- Nie szkodzi - zapewniła pospiesznie. - Dziś ja stawiam.

Kiedy stali przy ladzie kafejki, zauważyła, że wpa-

truje się łąkowie w kanapki z szynką, i spytała, czy nie jest głodny.

- Jak wilk - przyznał. - Przez cały dzień nie miałem czasu, żeby coś zjeść.

- No, a teraz opowiedz, jak świat się z tobą obchodził, Medy zeszłaś z pokładu naszego krążownika - zachęcił, gdy usiedli przy poplamionym plastikowym stoliku, mając przed sobą dwa kubki kawy i dwa sandwicze.

Niewiele miała do opowiedzenia. Nim skończyła, Dave zdążył pochłonąć kanapkę i łąpczywie opróżnić swój kubek.

Był nadal przystojny, ale schudł i wyglądał mizernie. Całe jej dziecięce uczucie do niego raptownie odżyło. Nieśmiało podsunęła mu swojego sandwicza i kawę.

- Może dałbyś radę i temu? - spytała, starając się nie patrzeć mu w oczy. - Nie jestem głodna i piłam niedawno kawę.

- Dlaczego pracujesz i w hotelu, i w supermarkecie? - spytał, z apetytem, napoczynając drugą kanapkę.

- Potrzebne mi pieniądze. Oszczędzam na coś własnego. Myślałam o herbaciarni albo o księgarence.

- Dużo ci jeszcze brakuje?

- Mniej więcej za rok będę mogła się za czymś rozejrzeć. A ty, jakie masz plany?

- Podobne do twoich, ale bardziej rozwojowe. Po otrzymaniu dyplomu zamierzam uruchomić biznes programowania systemów komputerowych z naciskiem na komunikację.

- A więc studiujesz w college'u?

- Tak.

- Masz stypendium?

- Nie. Opłacam chesne z tego, co zarobię, pracując wieczorami i w weekendy. Nie mam ochoty zaprzedać się duszą i ciałem.

- W takim razie nie jest ci łatwo. - Teraz przestała się dziwić, że Dave wygląda tak mizernie i nie ma pieniędzy.

- To prawda - przyznał posepnie. - Zbieram dobre oceny, ale stale brakuje mi na wszystko czasu. Przyszły rok zapowiada się na jeszcze cięższy. Muszę jak najszybciej znaleźć robotę. Poprzednią straciłem przez przewlekłą gripę.

- Ale praca w twojej sytuacji to straszny balast...

- Muszę sobie jakoś radzić, nie mam wyboru. Wszystko mi się zwróci, kiedy ruszę z własnym biznesem. Szkoda, że jesteś zielona, jeśli chodzi o sprawy techniczne. Przydałby mi się wspólnik, ktoś zaufany do prowadzenia biura. A ty masz fajny głos i wyrażasz się zupełnie jak wykształcona panienka. Nie wiem, skąd ci się to wzięło.

Ella przypomniała sobie dyrektorkę przytułku i jej słowa, które wywarły na niej ogromne wrażenie.

„Jak to dziecko ładnie się wyraża. Musi być z jakiejś dobrej rodziny”.

- Nadawałabyś się idealnie - głos Dave'e pomógł jej wrócić do rzeczywistości. - W czasie wolnym od pracy w biurze mogłabyś pomagać mi przy bieżących instalacjach - powiedział z ożywieniem. - Tego się można łatwo wyuczyć.

I tak, w jednej chwili, jej marzenia na temat przyszłości wzbogaciły się o znacznie atrakcyjniejszą wizję. Tyle że nie miała pojęcia o technice biurowej i komputerach.

Benson sprawiał wrażenie, jakby czytał w jej myślach.

- Gdyby cię to interesowało - dodał - niedaleko jest szkoła biznesu o profilu obejmującym dokładnie wszystko, co byłoby ci potrzebne.

- Bardzo by mnie interesowało, ale nie mogę rzucić pracy.

- Nie musiałybyś. Zajęcia odbywają się tylko wieczorami, w dni powszednie. W weekendy mogłabyś nadal pracować w hotelu i w supermarkecie.

- Jak długo trwa taki kurs?

- Do przyszłego lata. Ja miałbym już wtedy dyplom i wszystko by grało. Może udałoby mi się nawet nawiązać wstępne kontakty? - powiedział z rozmarzeniem. - Główny problem to kasa, jak zwykle - podjął, wracając do rzeczowego tonu. - Chyba że wzięlibyśmy pożyczkę z banku. Ale w takim wypadku wymagałoby od nas częściowego wkładu własnego. Potem można by uzyskać krótkoterminowy kredyt u dostawców, a klientów prosić o zaliczki.

- Będzie nas stać na własny wkład - powiedziała Eleanor, tłumiąc podniecenie. - Mówiłam ci, że mam oszczędności.

- Wątpię, czy by ich starczyło. - Dave z powątpiewaniem pokręcił głową. - Potrzebowalibyśmy minimum siedem-osiem tysięcy.

- Mam trochę więcej - oznajmiła z nutą triumfu.
- Wobec tego jesteśmy w domu! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Oczywiście, jeśli wchodzisz w ten interes.

- Wchodzę - oznajmiła zdecydowanie.

- W takim razie muszę znaleźć jakąś pracę, żeby dotrzeć do lata. Jasne, że byłoby mi łatwiej, gdybym nie pracował, ale...

- Nie musisz pracować - zapewniła ciepło. - Moje zarobki z supermarketu powinny nam obojgu wystarczyć na związanie końca z końcem.

- Wspólniczko, jesteś skarbem! - Dave w spontanicznym odruchu przechylił się przez stół i biorąc twarz Elli w obie dłonie, pocałował ją mocno w usta.

Serce dziewczyny zaczęło walić jak młotem i na policzki wystąpił rumieniec. Nikt dotąd nie całował jej w taki sposób

- Zdaje się, że jesteśmy skazani na sukces, malutka - oświadczył radośnie Benson. - I może pewnego dnia, kiedy już będziemy opływać w dostatki, nadamy naszej współpracy wyższą rangę.

- Co masz na myśli?

- Małżeństwo. Czemu by nie?

Być kochaną. Należać do kogoś. Mój Boże, o takim szczęściu nie śmiała marzyć. Zachciało się jej płakać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez kilka następnych miesięcy byli tak zajęci, że prawie się nie widywali. Raz na tydzień szli gdzieś wieczorem na kawę, czasem do pizzerii.

Dave nie mieszkał w internacie przy college'u, ale podnajmował z kolegą niewielki samodzielny pokój. Ella dawała mu na czynsz, ale nigdy jej tam nie zapraszał; nie znała nawet adresu.

- W pobliżu Station Road - powiedział ogólnikowo, a ona, wiedząc, że nie lubi być indagowany, przestała się dopytywać.

Zbliżało się Boże Narodzenie i sądziła, że spędzą je razem, ale Dave w ostatniej chwili zadzwonił, informując, że okropnie się przeziębił i myśli tylko o położeniu się do ciepłego łóżka.

Gdy zaoferowała mu swoją opiekę, ofuknął ją gniewnie.

- Na razie ty jesteś moją jedyną żywicielką i jeśli się ode mnie zarazisz, nie będziesz mogła pracować. Co wtedy?

Niestety, choroba przeciągnęła się i spotkali się dopiero w styczniu.

Kiedy tego wieczoru wyszła z ciepłego supermarketu, na ulicy szalała śnieżna zadymka. Chcieli coś ra-

zem zjeść, ale Ella, widząc, jak kiepsko Dave wygląda, zaproponowała, że' mogliby kupić rybę z frytkami i pójść do niego.

Był przerażony tym pomysłem.

- Chcesz, żeby gospodyni mnie wyrzuciła? - zachnął się. - To straszny babsztyl, mamy rygory jak w wojsku. Nie wolno palić. Nie wolno suszyć prania. Żadnej głośnej muzyki. Żadnych kąpieli po ósmej. I stanowczo żadnych gości, zwłaszcza płci przeciwnej - wyuczał. - Poza tym jest tam Tony, a mamy tylko jeden pokój. Coś ci powiem. Jeśli masz jakąś luźną forszę, możemy ten jeden raz pójść do baru.

Eleanor sięgnęła do torebki i wręczyła mu ostatnie dziesięć funtów.

Tak ją otumanił, że gotowa była dać mu wszystko, czego zażądał, włącznie z sobą. Jednakże Benson, choć od czasu do czasu ją całował, nie próbował posuwać się dalej. Raz, gdy ośmieliła się delikatnie napomknąć, że mogliby sypiać ze sobą, usłyszała w odpowiedzi:

- Przez tę harówkę cała energia ze mnie wycieka, a poza tym nie chcę się rozpraszać. Przyjdzie czas na igraszki, gdy rozkręcimy interes.

Mogła tylko podziwiać jego samozaparcie.

W rezultacie musiała przyznać, że skórka była jednak warta wyprawki, gdyż Dave ukończył naukę z najlepszymi ocenami. Wkrótce potem znalazła odpowiedni lokal na biuro, z niewygórowanym czynszem.

Wymówiła pracę w hotelu, mając nadzieję, że wreszcie zamieszkają razem, lecz Dave oświadczył, że woli się nie przenosić. Tłumaczył, że wygodniej mu

będzie zostać tam, gdzie mieszka, gdyż ma blisko do metra. Poza tym Tony musiałby opłacać całość czynszu, co było praktycznie niemożliwe przy jego zarobkach. Na koniec stwierdził, że przebywanie z Eleanor pod jednym dachem byłoby wodzeniem go na pokuszenie.

- Popatrz na to rozsądnie, dzieciно - powiedział.
- Potrzeba nam czasu na porządne rozkręcenie biznesu. Nie wolno mam ryzykować. Gdybyś zaszła w ciążę, popadlibyśmy w nie lada tarapaty. Dlatego dajmy sobie, powiedzmy... no, rok.

.. Rok...

- Przez ten czas będziemy zasuwali na okrągło siedem dni w tygodniu - dodał, całując ją lekko w policzek. - Jeśli wszystko pójdzie gładko, złagodzimy ten reżim i weźmiemy ślub - jak należy, po staroświecku. A na razie za pierwsze zarobione pieniądze sprawię ci zaręczynowy pierścionek.

Coraz bardziej miała wrażenie, że Dave obiecuje to wszystko na odczepnego, gimnastykując się, aby jej nie urazić, gdyż jest mu potrzebna.

Widząc markotną minę swej współniczki, dodał wspaniałomyślnie:

- Z racji znacznego udziału w interesie twoje nazwisko na wizytówkach firmowych będzie na pierwszym miejscu, jako nazwisko głównego partnera.

Elli było to absolutnie obojętne.

Wkrótce udało się jej tanio wynająć jednopokojowe mieszkanko z wnęką kuchenną i miniłazienką. Było ciasne i na trzecim piętrze bez windy, ale w porów-

naniu z poprzednimi warunkami pławiła się w luksusie. W dodatku miała dwa kroki do biura, dzięki czemu odpadał wydatek na metro.

Dave nabył używaną furgonetkę. Po remoncie pomieszczeń biurowych, przeprowadzonym głównie własnymi siłami, porozumieli się z potencjalnymi dostawcami i otrzymali pierwsze zlecenie.

Początek był bardzo obiecujący.

Ella byłaby całkiem szczęśliwa, gdyby nie to, że nadal bardzo rzadko widywała Dave'a, nie licząc godzin pracy. Raz czy dwa poszli do kina i do jakiejś taniej restauracyjki. Do jej nowego lokum nie chciał przyjść, choć usilnie go zapraszała.

- Za wielka pokusa - powtarzał. - Jeśli męczą cię samotność, kup sobie używany telewizor - poradził z powagą. Gdyby powiedziały to ktoś inny, uznałaby, że jest cyniczny.

Samotność jej nie męczyła, przywykła do niej. Brakowało jej Dave'a, zaś telewizor był akurat ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała. Źródłem pociechy i przyjemności pozostawały dla niej zawsze książki oraz muzyka.

W kilka miesięcy po otrzymaniu zapłaty za pierwsze zlecenie Dave, tak jak obiecał, kupił jej pierścionek zaręczynowy - z dwiema małymi cyrkoniami, tani, trochę za duży. Ella była nieprzytomna z radości. Ten drobiazg oznaczał dla niej wszystko. Zobowiązanie. Wspólną przyszłość. Miłość.

Nigdy dotąd nie zadała Bensonowi tego pytania, lecz teraz, gdy ją pocałował, zdobyła się na odwagę:

- Dave, czy ty mnie kochasz? - zapytała, obracając pierścionek na palcu.

- Oczywiście, że tak - zapewnił natychmiast.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś.

- Nie jestem zbyt wylewny, kochanie, ale przecież wiesz, kim jesteś dla mnie. Jesteś niezastąpioną partnerką w interesach. Tworzymy parę. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

To zapewnienie wystarczyło, aby przez kilka następnych tygodni żyła jak w transie.

Zbliżał się koniec grudnia i Eleanor liczyła, że tym razem święta i Nowy Rok spędzą wspólnie. Miała to być podwójna uroczystość, gdyż w sylwestra Benson obchodził urodziny.

Jednak kiedy mu o tym wspomniała, powiedział sucho:

- Przykro mi, ale nie będzie mnie w Londynie. Jadę z Tonym i chłopakami na promocyjną wycieczkę do Belgii. Sądzę, że mi się to należy, nie uważasz? Wyjeżdżamy w Wigilię, powrót drugiego stycznia. Przykro mi, ale to męska impreza. Przywiozę ci na pocieszenie jakiś miły prezencik.

Tak więc czekały ją kolejne samotne święta. Mimo to dla fasonu kupiła jemiołę i choinkę; upiekła też babeczki z kruchego ciasta.

W Wigilię poszła na koncert kolęd, a nazajutrz wybrała się na spacer do parku i karmiła kaczki.

W sylwestra otworzyła butelkę taniego wina. Nie przywykła do alkoholu i trochę się wstawiła. Na myśl o tym, jak mogłoby być wspaniale, gdyby Dave był

przy niej, uroniła łzę, ale dzielnie powstrzymała się od płaczu.

Tak jak zapowiadał, wrócił drugiego stycznia i wręczył jej kilka tandetnych pamiątek, mających świadczyć, że o niej myślał.

Po raz pierwszy słowa Dave'a zabrzmiały w uszach Elli pustym dźwiękiem...

Eleanor uświadomiła sobie nagle, że Robert Carington zadał jej jakieś pytanie, które do niej nie dotarło.

- Przepraszam, nie dosłyszałam - powiedziała, spłoszona.

- Pytałem, czy nie żałuje pani wejścia do tego biznesu?

- Nie. Ani trochę.

- A jak stoicie finansowo?

Elła sztywno wyprostowała się w fotelu.

- Chyba nie muszę odpowiadać panu na to pytanie.

- Zanim powierzę wam jakieś zadanie, mam prawo wiedzieć, czy nie grozi mi, że zostanę wystawiony do wiatru - powiedział, spoglądając na nią przenikliwie tymi swoimi niesamowitymi oczami. - Nie brak obecnie takich widmowych firm.

- Mogę tylko oświadczyć, że nie jesteśmy jedną z nich - odparła, wstrzymując z emocji oddech. Wyczuła, że ważą się losy kontraktu.

Najwidoczniej jej odpowiedź zadowoliła lorda, gdyż skinął głową. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy następne pytanie znów postawiło ją na baczność.

- A kiedy macie zacząć następną pracę?

Niepomna zaleceń Dave'a, postanowiła być szczerą do końca. Instynkt mówił jej, że każda inna taktyka została od razu rozszyfrowana.

- Chwilowo nie mamy nic w planie - odparła szczerze.

- Rozumiem. A więc cała nadzieja we mnie? - powiedział z hamowaną satysfakcją, uśmiechając się lekko.

Jeśli miała jakąkolwiek nadzieję, straciła ją w tym momencie. Benson okazał się lepszym psychologiem. Ten cynik z lordowskim tytułem był zwykłym, biznesowym draniem, jakich wiele.

- Skoro już się pan zabawił naszym kosztem, pozwól pan, że... - zaczęła, gwałtownie wstając z fotela.

- Siadaj, proszę - przerwał jej ostro, bezceremonialnie przechodząc na ty, jakby odkrycie słabości ich firmy uprawniało go do tego. - Proszę - powtórzył tak stanowczo, że niechętnie usłuchała.

- Dlaczego uważasz, że bawię się waszym kosztem? - zapytał z naciskiem.

- A nie jest tak? To się po prostu rzuca w oczy.

- Czy zmienisz zdanie, jeśli dam wam tę pracę?

- Nie, ale przynajmniej nie spiszę naszej rozmowy na straty - stwierdziła, odzyskując rezon.

- Cieszę się, że pozostałaś osobą z charakterem. Z początku myślałem, że przeciwności życiowe odebrały ci pewność siebie.

Współczucie lorda Carringtona było jej całkowicie zbędne.

- Życie było dla mnie łaskawsze niż dla wielu innych

ludzi - rzuciła oschle. - Nie traktowano mnie źle i nie głodowałam. Chwała Bogu jestem zdrowa i zdolna do pracy. Mam swój dach nad głową i kogoś, kto...

- Kogoś, kto cię kocha? - dokończył szybko. - W takim razie jeden zero dla ciebie.

Sięgnął poprzez blat biurka, uniósł jej lewą dłoń i przyjrzał się pierścionkowi.

- Jesteś zaręczona z Bensonem?

- Owszem. - Chciała cofnąć dłoń, lecz trzymał ją w mocnym uścisku.

- Od jak dawna?

- Od ośmiu miesięcy.

- I nie mieszkacie razem. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Skąd taki wniosek?

- Powiedziałaś: „mam swój dach nad głową”, używając liczby pojedynczej. Dlaczego trzymasz Bensaona na dystans? Z obawy, że się rozmyśli, jeśli pójdziesz na całość? Nic dziwnego, że chodzi zły jak osa!

- Wcale nie jest zły - zaprzeczyła nazbyt gwałtownie. - I nie trzymam go na dystans.

- Skoro tak, czemu nie mieszkacie razem?

Ten człowiek przekraczał wszelkie granice, a jednak nie była w stanie oburzyć się na niego. Sama nie rozumiała, czemu pozwala się odpytywać w coraz bardziej osobistych sprawach.

- Znasz porzekadło o ciekawości jako pierwszym stopniu do piekła? - z irytacją odpowiedziała pytaniem na pytanie, zwracając się do niego tak samo bezpośrednio, jak on do niej.

- Trafiony! - zaśmiał się, niespieszony. - Zdaje się, że znów zboczyliśmy z tematu.

- Dla ścisłości, to ty z niego zboczyłeś - syknęła przez zęby.

- Oho, zaczynamy się odgryzać. Może uznałaś, że jednak nie zależy wam na moim zleceniu?

- Jeśli mam fikać radosne koziołki, żeby je otrzymać, moja odpowiedź brzmi „nie”. Proszę, możesz się wycofać.

- Ach tak - cmoknął językiem. - A co powie na to Benson?

- Na co mianowicie? - rozległ się od progu głos Dave'a.

- Witam ponownie. Jak się udało spotkanie? - spytał ironicznie lord.

- Dziękuję, świetnie! O ile słyszałem, zadał pan Eli pytanie dotyczące mojej opinii w jakiejś sprawie.

- Tak - odparł Carrington po krótkiej chwili. - Uważam, że codzienne dojazdy do mnie i powroty do Londynu opóźniłyby znacznie tempo pracy. Zaproponowałem wobec tego pannie Smith gościnę w moim domu na czas wykonania zlecenia. Zgodziła się, lecz chciałem wiedzieć, jak pan będzie się zapatrywał na takie rozwiązanie.

- Więc daje nam pan tę pracę? - spytał z ożywieniem Dave.

- To zależy. Ze względu na pośpiech chciałbym mieć was oboje na miejscu. A zatem, jeśli zgodzi się pan, nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy podpisali umowę, uwzględniając wspomniany warunek. Jeśli nie...

Wyczekując zawiesił głos, lecz pogrożka była oczywista.

Ella spojrzała na Dave'a, wstrzymując oddech. Zachodziła w głowę, dlaczego lord skłamał. Czyżby domyślał się, że nie zechce zamieszkać u niego i taktycznie postawił ją przed faktem dokonanym?

Benson wyraźnie się wahał. Niechęć do aroganckiego klienta walczyła w nim ze świadomością, że znajduje się w przymusowej sytuacji.

- Rozumiem, że pan nalega? - spytał po kilkunastu sekundach.

- Tak jest.

- W takim razie zgoda.

- Bardzo się cieszę. Czy możecie zacząć od jutra, mimo soboty?

- Praca w weekendy to dla nas normalka.

- Dobrze. Stawicie się u mnie, wyjaśnię, o co mi chodzi i wówczas będziecie mogli ocenić, ile będą mnie kosztowały wasze usługi.

- Skoro wspomniał pan o pieniądzach - rzekł szybko Dave - przyda się nam zaliczka na zakup sprzętu u dostawców.

- Dziesięć tysięcy wystarczy? - rzucił Carrington, wyjmując książeczkę czekową.

- W zupełności.

- Macie swój transport? - spytał lord, wręczając mu czek.

- Mamy własną furgonetkę. Nie wiem tylko, jak do pana trafić.

- Dojedzie pan do Dunton Otterly i skręci na drogę

do Little Meldon. Do Greyladies jest stamtąd niecała mila. Kiedy skończy się główna ulica wioski, będzie skręt w lewo. Po paru minutach jazdy zobaczy pan na prawo wysoką żelazną bramę, a przy niej portiernię.

Robert Carrington wstał, skinął niedbale głową Bensonowi i wyciągnął rękę do Eleanor.

- Dziękuję za poświęcony mi czas, panno Smith. Mam nadzieję, że nie uważa go pani za stracony. - Puścił jej dłoń, skłonił się ironicznie i wyszedł.

Ten człowiek ma w sobie gładkość pumeksu, pomyślała zjadliwie.

- Świetna robota, dziecinko! - Dave triumfalnie zamachał czekiem. - Jak go przekonałaś?

- Wcale nie musiałam - wzruszyła ramionami. - Upierał się tylko, żebyśmy nocowali w Greyladies.

- To pewnie jakaś typowa, nudna, angielska prowincja - skrzywił się.

Wiedziała, że Dave nie cierpi wsi. Ten urodzony mieszczuch czuł się szczęśliwy tylko wtedy, gdy pod stopami miał chodnik, a w zasięgu wzroku - salon bilardowy.

- No, zasłużyliśmy chyba na wcześniejszy fajrant - stwierdził, sięgając po płaszcz. - Zmykam.

- Myślałam, że pójdziemy razem uczcić kontrakt - powiedziała nieśmiało.

- Przykro mi, kotku, ale umówiłem się z Tonym i chłopakami ha snookera. Podjadę po ciebie jutro po południu. Zatrąbię z dołu. Pa!

Dlaczego, jeśli ją kocha, zawsze stawia kumpli na pierwszym miejscu? Zresztą nie chodzi tylko o nich.

Od samego początku ustawił sprawę tak, że praktycznie przebywają ze sobą jedynie podczas pracy. Dave wyraźnie nie przejawia ochoty do spędzania z nią wolnego czasu.

Nagle Benson ustąpił w jej myślach miejsca Car-
ringtonowi. Powinna odczuwać ogromną ulgę, gdyż ten człowiek dał im wymarzoną robotę. Jednak jakiś wewnętrzny, nieśmiały głos ostrzegał Elle, że w jej życiu zaszło coś ważnego. Coś, co w sposób zasadniczy zachwiało dotychczasową, z takim trudem osiągniętą równowagę.

Przez chwilę poczuła się jak Faust, który zaprzedał duszę diabłu. Och, nie bądź głupia, zbeształa się w myślach. Przecież nie zrobiłaś nic złego, dałaś się tylko zdominować przez tego śliskiego drania.

I to właśnie ją gryzło. Efektem wizyty milionera, oprócz ulgi z racji uratowania firmy, był alarmujący niepokój.

Sobotni rano był pogodny, szare niebo przejaśniało. W radiu zapowiadano wzrost ciśnienia i ocieplenie. Eleanor cieszyła się, że zobaczy słońce i zieleń w dawce większej niż londyńska.

Przygotowała sobie zimny lunch, spakowała się i czekała na Dave'a, który mocno się spóźnił. Było już dobrze po czwartej, gdy usłyszała klakson. Zarzuciła na ramię torbę, chwyciła walizkę i zbiegła pośpiesznie na dół.

- Ile czasu można wychodzić z domu? - burknął skwaszony. - Zaparkowałem na zakazie.

- A gdzie ty się zawieruszyłeś? - odpaliła, gdy włączył się do ruchu. - Spóźniłeś się o ponad godzinę.

- Grałem z chłopcami w snookera. Ostatnia partycja przed zagrzebaniem się w tym wiejskim grajdole.

- Nie będziesz cierpieł tam za darmo!

- Chyba nie - mruknął i poklepał ją po kolanie, po czym włączył radio, i to na cały regulator, jak zawsze, gdy grano pop.

Dalsza rozmowa była wykluczona i Ella pozostała ze swymi myślami. Próbowwała je zwrócić ku najbliższej przyszłości, ale im usilniej starała się skupić na jej obrazie, tym szybciej zasnuwał się mgłą i oddalał nieosiągalnie jak miraż.

Zrezygnowana, wywołała w pamięci postać Caringtona. Ten facet denerwował ją i rozstrajał, wytrącał z równowagi, ale i pociągał, ba, nawet fascynował.

Prawie nic o nim nie wiedziała. Czy jest żonaty? Ma dzieci? W mediach przyczepiano mu łątkę kobieciarza, co bynajmniej nie znaczyło, że nie ma żony. Być może należał do tych znanych ludzi, którzy pilnie strzegą swojej prywatności. Albo też ma żonę, z którą jest skłócony. Zapewne sam się do tego przyczynił, będąc notorycznym podrywaczem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy wyjechali poza Londyn, całkiem się rozpo-
godziło i Little Meldon powitało ich jasnym słońcem.
Ella patrzyła z zachwytem na staroświeckie zabudo-
wania wioski, wyglądającej jak ilustracja do powieści
Dickensa.

W oczach Dave'a ów sielankowy pejzaż był tylko
wiejskim zadupiem, jak się pogardliwie wyraził. Pew-
nie już tęsknił za swoim bilardem.

Stosując się do wskazówek Carringtona, dotarli do
wyniosłego budynku bramnego z wieżyczkami i bruko-
wanym wjazdem, przegrodzonym żelaznymi kratami.

Dave nacisnął klakson i po kilku sekundach czło-
wieczek w ogrodniczych rękawicach, podobny do gno-
ma, otworzył bramę, za którą rozciągał się starannie
wypielegnowany ogród. Po kilkuset metrach meandro-
wania po alejkach, wśród klombów i strzyżonych tuj,
niby jakaś cudowna niespodzianka, otworzył się przed
nimi widok na rezydencję lorda.

Dziwne, lecz dla Ełli ten widok wcale nie okazał
się niespodzianką.

Na ułamek sekundy wcześniej wiedziała, że zoba-
czy Greyladies tak, jakby znała je od dawna.

Domostwo, choć długie i rozległe, posiadało tylko

dwie kondygnacje. Kamienne mury pokryte były kożuchem pnącego wina, na stromych dachach zieleniał mech. Gliniane nasady na kominach ozdobiono zabawnymi malunkami maszkar, w wielodzielnych oknach tkwiły nierówne szybki, po dawnemu oprawione w ołów. Z obu boków wielkich frontowych drzwi strzelały ku górze długie, witrażowe okna, zamknięte gotyckimi łukami.

Dokładnie w chwili, gdy Dave wyłączył silnik i wygramolił się na podjazd, zostawiając Ellę w furgonetce, w progu ukazał się gospodarz.

Skinąwszy chłodno głową w stronę Bensona, lord podszedł do wozu, otworzył drzwiczki od strony pasażera i powiedział:

- Witam w Greyladies, Eleanor.

Widząc, że nie może się uporać z odpięciem pasa bezpieczeństwa, nachylił się, aby jej pomóc. Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że mogła widzieć złotawe końcówki ciemnych rzęs. Pachniał przyjemnie słońcem i wodą po goleniu. Dostrzegł, że wlepia w niego wzrok jak zahipnotyzowana i poczerwieniała, czując się idiotycznie. Robert, cofając rękę po odpięciu pasa, zawadził o jej udo, a Ella podskoczyła jak oparzona. Natychmiast przeprosił i pomógł jej wysiąść. Stała na drżących nogach i nerwowo wciągnęła w płuca czyste, pachnące powietrze. To ją otrzeźwiło.

- Garaże są tam, na prawo - poinformował Dave'a. Grymas na przystojnej twarzy Bensona świadczył, że bardzo nie lubi być traktowany jak służba. - Jeśli życzy sobie pójść zaraz do swoich pokoi, kamerdyner

wskaże wam drogę. Przed kolacją zapraszam na drinka na tarasie.

Ujął Ellę pod łokieć i wprowadził do holu wyłożonego boazerią. Stały w nim pociemniałe ze starości skrzynie i komody oraz kilka rycerskich zbroi. Ze ścian sterczały obręcze z kutego żelaza, pełniące niegdyś funkcję kinkietów. Na lewo od wejścia pysznił się ogromny kamienny kominek, zastawiony teraz kwiatami. Po lewej kręte dębowe schody prowadziły na piętro. Przez witrażowe okna wlewało się do wnętrza słońce, barwiąc drgające powietrze i rozpościerając połyskliwe desenie na szerokich deskach podłogi.

Ella przystanęła, szepcząc w onieśmieleniu:

- Jak tu cudownie. Jakby weszło się w tęczę.
- Jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że już kiedyś to wszystko widziała i dom jest jej skądś znany.

- Czy coś się stało? - spytał Carrington, widząc jej zmieszanie.

- N-nie. Po prostu zdaje mi się, że już tu kiedyś byłam. Ale to oczywiście tylko złudzenie.

- Jednak nie jesteś o tym przekonana?

- Nie widzę żadnego sensownego wytłumaczenia swoich odczuć.

- Może znasz Greyladies ze zdjęć w magazynie?

- W magazynie?

- Tak. Ten dom zbudowano na fundamentach XIV-wiecznego klasztoru szarytek. Rok czy dwa lata temu, kiedy mieszkał tu jeszcze mój dziadek, czasopismo "Nasze Dziedzictwo" zamieściło artykuł o naszej sie-

dzibie z fotografiami wjazdu, rezydencji, holu, refektarza, starej kuchni i resztek przyklasztornego kościołka. Może te zdjęcia utkwiły ci w pamięci?

- Możliwe, choć nie przypominam sobie, żebym miała w ręku takie pismo.

- Rzućmy okiem na refektarz i kuchnię - zaproponował. - Zobaczmy, czy ten widok poruszy coś w twojej pamięci.

Refektarz był dużym surowym pomieszczeniem o wyszlizganej kamiennej posadzce, z pociemniałymi belkami pod powałą, o wąskich oknach. Ponad ciężkimi korpusami dębowych skrzyń i kredensów zwisły rzędem metalowe trzymadła do grubych woskowych świec. Pośrodku stał długi stół, oskrzydłony drewnianymi ławami. Ella wyobraziła sobie siedzące przy nim mniszki, ciche i rozmodlone.

- Czy otworzyła się jakaś szufladka? - spytał lord.

- Nie - potrząsnęła głową.

Obok znajdowała się kuchnia. Wypełniały ją głębokie kamienne koryta, masywny kredens i długi nieheblowany stół. Jedną ścianę zajmowało potężne osmolone palenisko z trójnogiem i rożnem.

- No, a tutaj?

- Też nic.

Mężczyzna pokiwał głową z dziwnym wyrazem zadowolenia.

- Chodźmy teraz na drinka - zaproponował. - Jeśli chciałabyś obejrzeć resztę domu, możemy po kolacji ruszyć na generalny obchód.

- O, tak! Z miłą chęcią - przytaknęła, zastanawia-

jac się, kiedy przedstawi jej swoją żonę. A może w ogóle nie było tu- kobiety?

Wrócili do holu i przeszli do zastawionego antykami salonu. Tu również dominował wysoki kominek, przed którym Ella zatrzymała się chwilę.

- O czym myślisz? - zagadnął natychmiast Car- rington.

- O długich zimowych wieczorach, mrozie, zawie- jach śnieżnych, o polanach trzeszczących w płomie- niach.

- Bardzo poetyczne - skomentował, ale nie wyczu- ła w jego głosie ironii. - Zdaje się, że lubisz otwarty ogień?

- O, tak. Ale na razie muszę poprzestać na dwóch małych grzejnikach.

- Fakt, kaloryfery nie są, nastrojowe - przyznał. - Nie mam nic przeciwko centralnemu ogrzewaniu pod warunkiem, że będzie niewidoczne. W domu takim jak len jest niestety niezbędne przez większą część roku.

Mówiąc to, otworzył francuskie okno, za którym wzdłuż całej ściany domu ciągnął się wykładany pły- tami taras. Nie było na nim widać nikogo, z wyjątkiem pręgowanego kota, który grzał się w słońcu na balu- stradzie. Niski stół okalało kilka fotelowych siedzisk.

Lord podsunął jedno z nich Eleanor, usiadł obok i kontynuował z ożywieniem:

- Mój dziadek Josh nie traktował Greyladies jak zabytku, toteż spora część domu otrzymała nowoczes- ne wyposażenie. Jesteśmy tylko trochę na bakier z naj- nowszą techniką. Na razie jedynym środkiem komu-

nikacji jest tu telefon. Josh był biznesmenem, ale wolał jeździć tam i z powrotem do Londynu, niż korzystać z komputera i sieci.

W drzwiach tarasu pojawił się leciwy kamerdyner i popchnął do stolika wózek z trunkami.

- Dziękuję, Tompkins. - Carrington odprawił go gestem. - Możesz odejść. Obsłużymy się sami.

- Czy pani Carrington przyłączy się do nas? - Ella wreszcie ośmieliła się zadać pytanie, które od pewnego czasu miała na końcu języka.

- Raczej nie - odparł z drwiącym błyskiem w oku. - Zony nie mam, a o ile wiem, moja macocha przebywa w Kanadzie. Czego się napijesz? - spytał, wstając. - Może wytrawnego martini?

- Doskonale - zgodziła się szybko.

Napełnił dwa koktajlowe kieliszki i już miał usiąść, gdy znów zjawił się Tompkins z wiadomością, że ktoś dzwoni w pilnej sprawie.

Lord przeprosił i wyszedł, a Eleanor z zachwytem rozglądała się po otoczeniu.

Z tarasu rozciągał się widok na nieskończoną perspektywę trawników, ozdobionych malowniczymi kępami buków i modrzewi. Lekki wietrzyk niósł zapach rozmarynu, tymianku i słodką woń bazylii. Drzemiący na balustradzie kot ocknął się i utkwiał w niej nieruchome zielone oczy. Podświetlone słońcem wąsy lśniły mu jak złote druciki. Po chwili wstał, wygiął grzbiet, dał susa na taras i zaczął ocierać się o nogi Elli. Kiedy podrapała go za uszami, wskoczył jej na kolana i umościł się na nich, mrużąc jak parowozik.

Ella przymknęła oczy i zwróciła twarz ku słońcu, uśmiechnąwszy się na myśl, jak cudownie byłoby zamieszkać w takim miejscu. Nic dziwnego, że lord wołał je od hałaśliwego i zasmrodzonego Londynu.

- A więc tutaj jesteś - usłyszała ostry głos Dave'a.

- A gdzie jego lordowska mość?

- Wezwano go do telefonu. Niedługo wróci.

- Muszę przyznać, że przyjmuje nas z honorami - stwierdził, sadowiac się w fotelu. - Dwie sypialnie z łazienkami, salonik z telewizorem, dywany, słowem, Francja - elegancja. Tyle że całe to miejsce załatuje kostnicą. Nie wiem, jak wytrzymam na tym piekielnym odludziu. Chyba się napiję - dodał, zerkając łakomie aa wózek barowy.

Wstał, nalał sobie solidną porcję whisky, usiadł znów i spojrzał krzywym okiem na kota.

- Po jakie licho hołubisz tę parszywą zapchlona kreaturę? - rzucił.

- A to co jest, u diabła? - podskoczył, aż whisky wylała mu się na spodnie. Potężny czarny rottweiler wybiegł nagle z wnętrza domu.

- Nie robi panu krzywdy - uspokajał go Carrington, który ukazał się w ślad za psem. - Jest bardzo łagodny i chętnie zaprzyjaźnia się z moimi gośćmi.

- Wolałbym, żeby go pan trzymał z daleka ode mnie - burknął Dave. - Nie lubię tych bojowych bestii.

- Ty także boisz się psów? - zagadnął Robert, zwracając się do Elli.

- Nie. Z chęcią zaprzyjaźnię się z nim. Jak się nazywa?

- Paddington. Mów mu Paddy. A to jest Jessie - dodał, wskazując na kotkę. - To starzy kumple, bawią się razem. Ale gdy Paddy się rozdokazuje, Jess zaraz go karci. A ty masz jakieś zwierzątko?

- Nie. Zawsze chciałam mieć psa, lecz tak późno wracam do domu, że byłabym wobec niego nie w porządku.

- Bardzo uczciwa postawa. Paddy też zostaje tutaj, gdy ja siedzę w Londynie. Jeszcze szklaneczkę, panie Benson? Sporo się panu wylało.

Ignorując jawną kpinę w głosie lorda, Dave wyciągnął rękę ze szklanką i otrzymał hojną dolewkę.

- Jak się panu jechało? Nie było kłopotów z trafieniem?

- Nie, ale nie przypuszczałem, że mieszka pan na takim pustkowiu.

- Cywilizowanym pustkowiu - odparł lord. - Mam nadzieję, że pokoje są wygodne?

- Bardzo. Ale wciąż nie bardzo rozumiem, dlaczego musimy tu mieszkać - rzucił Dave wojowniczo. - Można by...

- Już wyjaśniałem, że mi na tym zależy. Nie ma sensu tracić czasu na codzienne podróże.

- Zgoda, ale to przecież nasz czas, nie pański.

- Jeżeli nie odpowiadają panu moje warunki - w głosie Carringtona zadźwięczała twardość polerowanej stali - proszę jedynie o zwrot czeku. Potem może pan w każdej chwili wyjechać.

Dave zbladł jak płótno.

- Nie powiedziałem, że nie mam ochoty dotrzymać

warunków umowy. Naturalnie zostaniemy i zrobimy, co do nas należy.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Zaraz pokażę panu pomieszczenie, w którym zamierzam urządzić biuro, i wytłumaczę pokrótce, o co mi chodzi.

Ku wielkiej uldze Elli w tym momencie zjawił się Tompkins, oznajmiając, że kolacja jest już gotowa.

Kiedy Dave wlał w siebie resztę whisky, a Eleanor zdjęła z kolan kota, gospodarz poprowadził ich do jadalni. W holu zatrzymał się i wskazując drzwi do umywalni, sztywno zwrócił się do niej:

- Ponieważ hołubiła pani mego parszywego, zapchlonego kota, może pani umyć ręce przed jedzeniem.

- Słusznie, przy okazji nieco się odświeżę.

Gdy zeszła do holu, obaj stali z niezbyt pogodnymi minami.

- Nie zapomni pan, co mówiłem o oświetleniu? - upewnił się Carrington.

- Nie zapomnę. Ale myślałem, że to ja biorę od pana pieniądze za rady.

- Płacę panu za to, czego potrzebuję.

O Boże, pomyślała Ella, znów się kłóć.

Przy stole w jadalni mogło zasiąść swobodnie ponad dwadzieścia osób. W powietrzu rozchodził się zapach świeżych róż z dekoracji ustawionej pośrodku obrusu.

Carrington rzucił kurtuazyjnie parę zdań, lecz Benson siedział posępny jak chmura gradowa. Każda próba konwersacji zamierała w zarodku i kolacja upływała w niemal całkowitym milczeniu. Ella bardzo chciała

powiedzieć coś, co rozładowałoby napięcie, ale jej szare komórki odmawiały wszelkiej współpracy.

W pewnej chwili Benson, sięgając po sól, z brzękiem strącił na podłogę widelec. Stłumiwszy przekleństwo, schylił się po niego i już, już miał go wytrzeć w serwetkę, kiedy na znak lorda służący wymienił sztuciec.

- Obawiam się, że nie jesteśmy tu na swoim miejscu - odezwał się Dave z godną podziwu brawurą. - Powinniśmy jeść w pokoju dla służby.

- Nie mamy tu już takiego pomieszczenia - uśmiechnął się Carrington. - Czasy się zmieniły. Kiedyś po domu kręciły się zastępy służby i dziadek regularnie przebierał się do kolacji. Dziś wszystko przebiega mniej oficjalnie. Ja do kolacji przebieram się jedynie na specjalne okazje, a mój stały personel liczy tylko trzy osoby - Jackson przy bramie i w ogrodzie oraz państwo Tompkinsowie.

- Jak na tak rozległą posiadłość, to raczej niewiele - odezwała się Ella, widząc szansę podtrzymania rozmowy.

- Sama rezydencja nie wymaga dużej obsady. Z zasady przez cały tydzień przebywam w Londynie, toteż nie opłaca się utrzymywać całego domu. A jeśli zajdzie potrzeba, pani Tompkins w kuchni i Jackson w ogrodzie korzystają z usług ludzi z wioski.

Dave tłumił ziewanie, słuchając wywodów gospodarza, a po deserze wstał od stołu z nietajoną niecierpliwością.

- Już wiem mniej więcej, o co panu chodzi, więc

zabiorę się od razu do projektowania biura - oświadczył.

- Świetnie. Jeżeli panna Smith nie będzie panu potrzebna, chciałbym jej pokazać resztę domu.

- Na razie nie, Muszę zaplanować, gdzie i jaki sprzęt ma się znaleźć, i ułożyć listę zamówień. Zajmie mi to kilka godzin.

- Nie napije się pan przedtem kawy?

- Nie, dziękuję. Ale wziąłbym ze sobą trochę brandy.

- Proszę bardzo.

Benson, nie bacząc na niezbyt entuzjastyczny ton przyzwolenia, nalał sobie solidną porcję i oddalił się w pośpiechu.

Ella była ciekawa reszty domu, ale nie uśmiechała się jej perspektywa wędrowania sam na sam z Carringtonem po zakamarkach olbrzymiej posiadłości. Ten człowiek intrygował ją, ale również niepokoił.

- Wieczór jest tak piękny, że moglibyśmy wypić kawę na tarasie, dobrze? - zaproponował.

- Bardzo chętnie - zgodziła się z radością.

Wieczór istotnie był ciepły, w parku nawoływały się ptaki, pachniało świeżo skoszoną trawą. Sącząc powoli kawę, Ella czuła, że powraca jej wcześniejszy dobry nastrój. Jednak tym razem pod spokojną powierzchnią krył się groźny wir.

Popadła w dziwny stan, rodzaj odurzenia - nie alkoholowego, lecz spowodowanego obecnością Carringtona. Dlaczego, będąc zaręczona z mężczyzną, którego kocha od lat, ulega wpływowi innego, o którym nawet nie może powiedzieć, że go lubi?

Zauważyła badawczy wzrok Roberta. Miała wrażenie, jakby odgadywał jej myśli. Odwróciła powoli głowę, usiłując zachować pozory spokoju i opanowania.

- Co byś chciała zobaczyć najpierw? - spytał, gdy dopili kawę. Charakterystyczne, że w obecności Dave'a zwracał się do niej oficjalnie, jakby chcąc zachować pozory, a gdy zostawali sami, stawał się niepokojąco bezpośredni. Przyjęła tę konwencję, nie chcąc zachowywać się sztucznie.

- Właściwie jest mi wszystko jedno - odpowiedziała głosem, który w jej własnych uszach zabrzmiał jak mysi pisk.

- Wobec tego może zaczniemy od części mieszkalnej, a rzeczy ciekawsze zostawimy sobie na później.

- Brzmi to obiecująco - odparła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Chodząc po zamieszkaney części rezydencji, Ella przez cały czas miała wrażenie, że stare domostwo wita ją w swoich ścianach jak dawno nie widzianego domownika. Jednocześnie miała świadomość, że Carrington nie spuszcza z niej wzroku, zdając się śledzić jej reakcje. Krępowało ją to i prawie się nie odzywała.

- Odnoszę wrażenie - zagadnął w pewnej chwili - że świetnie się czujesz w Greyladies.

- O, tak! To piękne miejsce - odparła z entuzjazmem.

Pod sam koniec obchodu otworzył przed nią drzwi do długiego nieumeblowanego pokoju, niepodobnego do innych.

- Tu znajdowało się atelier mojego dziadka - objaśnił.

Całą ścianę zajmowały ogromne okna, w suficie widniały świetliki, a wzdłuż pozostałych ścian ciągnęły się stoły warsztatowe i półki zapchane opakowanymi blejtramami. W kącie tkwiły samotnie puste sztalugi.

- Z dziadka nie był raczej Van Gogh, ale malowanie sprawiało mu wielką przyjemność niemal do końca życia.

- A co malował? - spytała z zaciekawieniem Ella.

- Pejzaże, martwe natury, portrety. Niektóre były całkiem niezłe. Na przykład ten, choć nigdy go nie zawiesił.

Sięgnął do najbliższej półki i odpakował obraz. Był to portret dziewczyny. Miała trójkątną twarz, szeroko rozstawione oczy i ciemne włosy, sięgające jej niemal do pasa. Uśmiechała się promiennie, wdzięcznie przechylając głowę.

Widząc, że Ella przygląda się portretowi jak urzeczona, zapytał z jawnym zaciekawieniem:

- Czy ona kogoś ci przypomina?

- Właściwie mogłabym to być ja - odrzekła powoli. - Podobne są oczy, kształt twarzy, ale nigdy nie miałam takich długich włosów. Poza tym moje są jaśniejsze. I ona jest ubrana w stylu lat pięćdziesiątych.

Nie ma też mojej blizny, pomyślała.

- Nazywała się Jenny Linton - poinformował, jakby to imię i nazwisko miało cokolwiek dla niej znaczyć. - Kształt oczu macie podobny, ale kolor inny - zauważył, pakując z powrotem obraz. - Jenny ma oczy niebieskoszare, podczas gdy twoje są szare z ciemną obwódką i bez odrobiny błękitu.

Gdy wyszli z pracowni, dodał:

- Jeszcze jeden jej portret wisi w bibliotece, na drugim piętrze. Uważam go za szczególnie udany.

Idąc po dębowych schodach na górę, Ella znów poczuła dziwną pewność, że kiedyś stawiała stopy na tych samych stopniach.

- Znów déjâ vu? - spytał lord, jakby czytając w jej myślach.

- Nie wiem, jak inaczej określić przemożne wrażenie, które ciągle odczuwam - przyznała, coraz bardziej zaintrygowana.

- Coś w rodzaju naturalnej więzi z tym miejscem?

- Tak, właśnie - uśmiechnęła się - choć nie mam pojęcia, skąd się to bierze.

- Hm, taki stary dom to nie tylko kamień i drewno. Ma także swoją atmosferę, swoje zjawy, własną duszę.

- Są tutaj duchy?

- Jest ich mnóstwo, w postaci wspomnień, które nie wygasły. Ale jedynym prawdziwym duchem, jeśli można tak powiedzieć, jest nasza Szara Dama. Przy okazji opowiem ci o niej.

Z obszernego podestu na szczycie schodów skręcili korytarzem w prawo.

przeze mnie. Dawniej mieszkał w nich dziadek. Po pierwszym wylewie został częściowo sparaliżowany i postanowił, że tu się zainstaluje. Kazał przerobić na gabinet pokój sąsiadujący z jego sypialnią, dzięki czemu miał tuż obok ukochane książki.

W bibliotece nad kominkiem wisiał portret kobiety. Dama miała szeroko rozstawione oczy, pełne usta i uśmiechała się słodko jak dziecko. W ciemnych włosach widoczne były srebrne nitki, a pod oczami i wokół ust rysowały się kreski zmarszczek.

- Przecież to ta sama kobieta! - zawołała Ella.

- Tak, Jenny Linton, znacznie już starsza.

- Czy należała do rodziny?

- Nie. Była wieloletnią przyjaciółką dziadka.

- Znałeś ją osobiście?
- Niestety, nie. Chodźmy dalej.

Gdy zawrócili ku schodom, Carrington, wskazując na troje drzwi znajdujących się tuż obok siebie, poinformował Ellę, że tu mieszczą się pokoje przygotowane przez panią Tompkins dla niej i dla Bensona. Dwie sypialnie przedzielone salonikiem.

- Pani Tompkins jest cokolwiek purytańska i była rada, że poleciłem jej przysposobić osobne sypialnie
- dodał z uśmiechem, który wywołał rumieniec na policzkach Eleanor.

Zza drzwi saloniku słychać było włączony telewizor - widomy dowód, że Dave, wbrew obietnicy, nie zajął się pracą.

Popatrzyli na siebie i w milczącym porozumieniu ruszyli dalej.

- Lubisz telewizję? - zagadnął Carrington.

Ella potrzęsnęła głową.

- Nie mam nawet telewizora. To pewnie trochę dziwne w dzisiejszych czasach.

- Przeciwnie, wyjątkowe i godne podziwu. Co w takim razie lubisz?

- Czytam, co tylko wpadnie mi w ręce, lubię słuchać muzyki.

- Jakiej?

- Klasycznej, muzyki śródka, trochę popu, trochę jazzu.

- Szeroki rozrzut. A lubisz operę?

- Tak. Ale żadnej nie widziałam.

- Dlaczego?

- Nie starcza mi... czasu - W ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „pieniędzy”.

- A kto jest twoim ulubionym kompozytorem?

- Puccini.

- Mogłem się domyślić. Kto jeszcze?

- Wagner.

- Teraz mnie zaskoczyłaś. Wiele osób twierdzi, że jest przyciężki.

- Ty także?

- Nie. Bardzo go lubię. A teraz przejdziemy do matecznika, części domu, którą pewnie uznasz za ciekawszą - nagle zmienił temat.

Na ów „matecznik” składały się przeróżne zakamarki, nagłe zakręty, pakamery i schowki, amfiladowe pokoiki, korytarzyki zdające się prowadzić donikąd, rozwidlenia, wąskie spiralne schodki, galeryjki, podesty - słowem: nieustanna niespodzianka dla oczu. Ella nie kryła zachwyty.

W pewnym momencie, zerknąwszy przez malutkie okienko, zawołała w podnieceniu:

- O, jakie malownicze ruiny! Nie wiedziałam, że są tak blisko.

Opierając ręce o mur z obu stron jej głowy, Robert spojrział Elli przez ramię.

- Tak, tu był kościółek. Za tamtym dużym bukiem widoczne są resztki zewnętrznej ściany.

Nie dotykał jej, lecz stał tak blisko, że czuła jego oddech na karku. Gdyby skrzył trochę głowę, przyłożyłby usta z boku do jej szyi.

Nie panując nad nerwami, odwróciła się gwałtownie.

Robert wyprostował się, ale chociaż ich twarze dzieliły zaledwie centymetry, nie cofnął się ani o krok.

Eleanor zastygła w bezruchu, w napięciu wpatrując się w niego.

- Skąd ta blizna? - spytał, patrząc na jej lewy policzek.

- Nie chcę o tym mówić - zbyła go szorstko.

- Dlaczego?

- Jest brzydka.

- Ja tak nie uważam - powiedział miękko i delikatnie. Opuszką palca wskazującego powiódł wzdłuż wąskiej linii. - I Benson z pewnością też nie - dodał szybko, jakby czytał w jej myślach.

. - Bo gdyby tak uważał, nie chciałby się ze mną żenić, prawda? - podchwyciła z ironią.

- Nie to miałem na myśli. Niemniej sędzę, że jeśli nie chce się z tobą ożenić, z pewnością nie czyni tego z powodu blizny.

- Ależ on chce się żenić! - zaprotestowała.

- Możliwe, ale co zrobisz, jeśli się rozmyśli? Będziesz o niego walczyć?

Nigdy nie umiała o nic walczyć. Nagle ogarnął ją strach.

Carrington momentalnie wyczuł zmianę nastroju. Odsunął się od niej, lecz tylko o krok.

- Nie chciałbym zepsuć tego cudownego wieczoru - powiedział. - Proponuję, żebyśmy na razie zapomnieli o Bensonie i przyjrzeni się z bliska ruinom. Pójdziemy skrótem przez stary ogród.

- Ale już się ściemnia!

- Nie wiesz, że właśnie o tej porze ogrody nabie-
oją magicznej aury? A może spotkamy naszą Szarą
Damę? Widziałaś kiedyś ducha?

- Nigdy. - Wzdrygnęła się niedostrzegalnie. - I nie
palę się do tego.

- Bez obawy. Obiecuję, że będę cię trzymał za rękę.

- Przeciwnie, obiecaj, że nie będziesz, a wtedy się
zastanowię.

- Słowo! - zaśmiał się. - Ale jeśli ujrzymy jakieś
okropne straszdyło, to ty będziesz musiała mnie wziąć
za rękę.

Na dworze zmierzch zaczynał rozsnuwać swoje li-
liowe welony, ale niebo na zachodzie ciągle różowiało,
poprzecinane złocistymi smużkami chmur. Lekki wia-
terek kołysał pnączami, przynosząc woń kapryfolium
i nasyconych słońcem kwiatów.

Przekroczywszy na przełaj zieloną połąć trawnika,
Ella i Carrington weszli przez bramkę z przyszczyżo-
nych w łuk cisów.

Idąc w milczeniu krętą ścieżką wzdłuż ceglanego muru, dotarli do
rego kościółka. Oprócz porośniętych trawą fundamen-
tów zachowała się tylko duża sklepiona brama i frag-
ment południowej nawy.

Tymczasem zmierzch ukradkiem zgęstniał i na po-
ciemniałym niebie pokazały się gwiazdy. Sponad skle-
pienia bramy wyłonił się księżyc, oblewając ruiny sre-
brzystą poświatą.

Carrington podprowadził Ellę do kamiennej ławki,
wciąż nagrzanej słońcem.

- Taki księżyc mój dziadek nazywał wilczym - powiedział cicho. - Dzisiejsza noc będzie odpowiednia dla duchów.

- Myślałam, że szanujące się duchy woła noce ciemne i burzliwe.

- Nie Szara Dama.

- Obiecałeś mi o niej opowiedzieć...

- Nosiła imię Teresa. Była najmłodszą córką szlachcica, który mając dosyć romansowych wybryków swojej pociechy, zamknął ją w klasztorze. Mimo to wymykała się wciąż do swego kochanka, a kiedy zaszła w ciążę, ubłagała go, aby w jasną księżycową noc przyjechał i pomógł jej w ucieczce z klasztoru. Kochanek jednak nie przybył na umówione spotkanie. Teresa ukradła konia należącego do dostojnika, który gościł w klasztorze, i ruszyła sama na poszukiwanie wiarołomcy. Nie ujechała nawet kilometra, gdy koń się potknął, zrzucił ją z grzbietu i biedaczka skrzyła kark. Pochowano ją podobno przy trakcie, gdzie się to zdarzyło, i do dziś nosi on nazwę Grobowego Szlaku. Od tamtej pory w okolicy krążą opowieści, że w księżycowe noce Teresa krąży w pobliżu klasztoru w oczekiwaniu na kochanka.

- Czy według ciebie duchy naprawdę istnieją? - spytała Ella.

- Tak jak już mówiłem, wyłącznie jako wspomnienia, które przetrwały w danym miejscu i tworzą jego swoisty nastrój. Rodzaj niezwyklej atmosfery, którą pewni ludzie wyczuwają intensywniej niż inni. Czy odbierasz tu aurę jakiejś tragedii?

- Nie. Choć wiem, eo się tu zdarzyło, czuję jedynie spokój i... - zawahała się, nie kończąc zdania.

- Więż z tym miejscem, o której już wspominałaś?
- poddał.

- Tak.

- Czy jest dla ciebie ważna?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Kiedy zasugerowałem to wcześniej, uśmiechnęłaś się, jakbym powiedział coś, co sprawiło ci szczególną przyjemność. Naszła mnie wtedy ochota, żeby objąć cię i ucałować. Na szczęście w porę przypomniałem sobie, że masz narzeczonego, i zwalczyłem pokusę.

- Cieszysz mnie to - odparła lekko drżącym głosem.

- Naprawdę? Szkoda, bo teraz już nie jestem w stanie się powstrzymać.

Ella zamarła w bezruchu, oddychając z trudem.

- Powinnaś popatrzeć w lustro, na swoją minę. Nawet zjawienie się Szarej Damy nie mogłoby bardziej cię zmrozić. Czyżbyś aż tak nie lubiła być całowana?

- Wolałabym zobaczyć ducha - powiedziała zduszonym głosem.

- Skąd ta pewność? Przecież nigdy nie widziałaś ducha. Nie wątpię, że byłaś już całowana, ale nie przeze mnie. To znaczy, do tej chwili...

Pochylił się i leciutko musnął ustami jej wargi.

- Chyba nie było aż tak strasznie? - droczył się z nią. Nie była w stanie wykrztusić słowa.

Robert znienacka przyciągnął ją do siebie i nakrył ustami jej usta. Pocałunek był lekki, nie natarczywy, ale Elli odebrał oddech.

Owładnęła nią nagła namiętność i kiedy pocałunki Carringtona nabrały mocy, świat przestał istnieć. Gdy wreszcie ją puścił, jeszcze przez kilka sekund siedziała z zamkniętymi oczami, walcząc z narastającym poczuciem, że osuwa się w przepaść bez możliwości ratunku.

Kiedy w końcu uniosła powieki, wciąż oszołomiona i zdezorientowana, poczuła, że intensywny wzrok mężczyzny pali jej policzki. Za moment Robert zaskakująco czułym gestem odgarnął Elli z twarzy kosmyk włosów i założył za ucho.

- Lepiej wracajmy - powiedziała. - Gdy Benson zobaczy cię w takim stanie, będziesz miała szczęście, jeśli się nie wedrze do twojej sypialni w ataku zazdrości.

- Będę miała szczęście, jeśli się wedrze - odparła cierpko i zagryzła usta, uświadomiwszy sobie, jak wiele ujawniają te słowa.

- Moim zdaniem ten głupek nie jest ciebie wart - stwierdził wzgardliwie Carrington.

- Och, nie powinnam nic mówić - westchnęła z udręką. - Skończmy ten temat, dobrze? On zupełnie ciebie nie dotyczy.

- Jak najbardziej dotyczy! - zaprzeczył z dziwnym ożywieniem.

- W jaki sposób?

- Posłuż się wyobraźnią.

Przeszedł ją dreszcz. Niepotrzebnie zadała to pytanie.

- Zadrzałaś z chłodu czy z podniecenia?

- Z chłodu - skłamała.

- Może chciałabyś, żebym cię rozgrzał, zapominając o narzeczonym?

- Nie - odparła chłodno.

Była zła na siebie, że postępuje nie fair wobec Dave'a, a lord najwidoczniej traktuje ją jako łatwą zdobycz.

Sama jest sobie winna, bo nie broniła się przed zapędami Carringtona. Najpierw daje mu sygnał, że może śmieiej sobie poczynać, po czym nagle mu odmawia! Jeśli dalej będzie tak postępować, lord może wycofać się ze zlecenia, mszcząc się za afront. Ktoś tak bogaty i zaborczy jak on musi być przyzwyczajony, że kobiety mu nie odmawiają. Trzeba taktownie wyprostować tę sytuację, inaczej pobyt w Greyladies stanie się nie do zniesienia.

Szukała w myśli właściwych słów, gdy Carrington wstał i pociągnąwszy ją za rękę, poderwał z ławki.

- Wracajmy, robi się coraz chłodniej - powiedział, podając jej ramię.

Eleanor odsunęła się od niego grzecznie, lecz stanowczo.

- Naprawdę... nie powinienes zachowywać się w ten sposób.

- Bo jesteś zaręczona? - podchwycił z ironią.

- Owszem. Ale nie tylko dlatego.

- Sądzisz, że nie wypada mi zalecać się do moich gości?

- Nie uważam się za gościa. Przyjechałam tu, aby wykonać zleconą pracę.

- Absolutnie nie masz racji! - oświadczył z błyskiem w oczach. - Dawno nie odwiedził mnie ktoś tak miły. Nie mów, że jesteś tu tylko służbowo. Czy nie

uważasz, że powinniśmy się lepiej poznać... na gruncie towarzyskim?

- Nie spotkamy się nigdy na takim gruncie. Należymy do dwóch różnych światów.

- Wcale nie jestem tego pewien. W każdym razie mnie to nie przeszkadza.

- Ale mnie przeszkadza - stwierdziła z uporem.

- Antysnobizm?

- Nazywaj to, jak chcesz, ale pozwól, abym w spokoju wykonywała, co do mnie należy. Przecież podpisaliśmy umowę!

- Daj spokój, umowa może poczekać! Po tym, jak się całowaliśmy, po prostu nie potrafię traktować cię tak formalnie... Eleanor.

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Dobrze, jeśli nie chcesz być formalny, nazywaj mnie Ellą. Wszyscy tak do mnie mówią.

- A ja wolę Eleanor. To piękne imię.

- Dobrze, mniejsza o imię - westchnęła zrezygnowana. - W każdym razie chciałabym, żebyś pamiętał: ja tylko tutaj pracuję i chciałabym, żeby nasze stosunki miały charakter...

- Nacechowany rezerwą, bardziej służbowy? - odpowiedział ochoczo.

Odetchnęła z ulgą. Jeśli Carrington zechce zapomnieć o tym, co między nimi zaszło, wszystko się jeszcze jakoś ułoży.

- Chyba już trochę za późno na taką rezerwę, nie uważasz? Moim zdaniem, nasze stosunki przesunęły się na płaszczyznę dosyć osobistą.

- O to właśnie chodzi. Nie powinnam na to pozwolić!

- Rozumiem, mam zatracić odwrot?

- Tak. I przepraszam, że zachowywałam się tak głupio.

- Może to wina księżycy w wilczej fazie... - powiedział cicho.

Przez resztę drogi szli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

Eleanor była zadowolona, że udało się jej w porę pohamować tego niebezpiecznego zalotnika, a jednocześnie odczuwała nieokreślony żal, że nic już się nie zdarzy.

U licha, co takiego miałyby się zdarzyć? Co jej się roi? Byłaby szalona, ryzykując przyszłość u boku Bena dla człowieka, któremu chodziło tylko o miłość... który potem nie miałby dla niej nic, prócz pogardy. Albo litości...

Litość byłaby jeszcze gorsza.

Stanowczo od tej chwili musi trzymać się Dave'a i odpierać pokusy, omijając lorda Carringtona jak najszerszym łukiem.

Kiedy doszli do tarasu, malowniczo oświetlonego teraz latarenkami, lord spytał uprzejmie:

- Może masz ochotę na mleczny napój przed snem albo coś mocniejszego?

- Nie, dziękuję.

- Na pewno w żaden sposób nie mógłbym ci pomóc w zaśnięciu? - spytał dwuznacznie.

Boże, on znów zaczyna, pomyślała w popłochu, sta-

rając się nie patrzeć w oczy, w których połyskiwały złociste iskierki.

- Na pewno - odpowiedziała o wiele za głośno.
- Wobec tego odprowadzę cię do pokoju.
- Nie musisz się fatygować.
- To żadna fatyga. Ja też idę spać. Jutro rano mam ważne spotkanie w Londynie.
- W niedzielę?
- Niestety.
- To znaczy, że nie będzie cię w domu przez cały tydzień?
- Jeszcze nie wiem. Z pewnością przez kilka dni.
- Pytałam tylko ze względu na pracę - dodała pośpiesznie.

- Naturalnie - przytaknął z powagą. - Zostawię Bensonowi wskazówki na piśmie wraz z numerem telefonu, pod którym będę osiągalny w razie potrzeby.

Na górze, z saloniku między pokojami Elli i Dave'a, nadal niósł się dźwięk głośno nastawionego telewizora. Ciemne brwi Carringtona drgnęły nieznacznie.

- Pani Tompkins zadba, żeby wam niczego nie brakowało - powiedział. - Dla służby macie status gości. Nie wątpię, że Benson to doceni. Ty - niekoniecznie.
- Dziękuję, doceniam.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł z ironią. - i dobrej nocy, panno Smith. Do zobaczenia pod koniec tygodnia.

- Dobranoc - odpowiedziała. Wbrew jej intencjom pożegnanie zabrzmiało raczej smętnie niż chłodno i oficjalnie.

- Jestem pewien - dodał Carrington z szyderczym błyskiem w oczach - że teraz, kiedy już nie musisz obmyślać sposobów unikania mojej osoby, będzie ci się dobrze spało.

Nie odpowiedziała. Skinęła mu głową i weszła do saloniku wypełnionego ogłuszającym rykiem telewizora. Dave, rozparty na sofie, nie odwracał wzroku od ekranu. Z opadającym na czoło puklem ciemnych włosów wyglądał jak Presley.

- Zastanawiałem się, gdzie cię diabli ponieśli - burknął wreszcie, sięgając po pilota i odrobinę ściszej dźwięk. - Chyba nie trzeba całego wieczoru, żeby rozejrzeć się po chałupie, nawet tak wielkiej jak ta.

- Poszliśmy jeszcze obejrzyć ruiny starego kościoła. Jestem trochę zmęczona i pójdę do łóżka. Który pokój jest mój?

- Ten na prawo. Wstawiłem tam już twoją walizkę.

- Dziękuję. Dobranoc. - Nachyliła się, całując go w policzek.

- Dobranoc. - Nie pofatygował się nawet, żeby jej oddać pocałunek.

Pokój był duży, umeblowany wypolerowanymi antykami. Podłogę z dębowych klepek pokrywał śliczny orientalny dywan. Podwójne małżeńskie łóżko kusiło elegancką pościelą.

Mogłaby tam spać z Dave'em...

Kiedyś powitałaby taką możliwość z zadowoleniem; teraz sama była zdziwiona, jak mało ją to obeszło.

Podczas ablucji w łazience spróbowała dokonać racjonalnej analizy sytuacji.

Poszło jej nadspodziewanie łatwo. Jak mogła rozważać przespanie się z Bensonem, mając głowę nabitą myślami o Carringtonie i czując wciąż na ustach jego pocałunki? Teraz - pomyślała triumfalnie - gdy sprawa wzajemnych relacji została rozsądnie ustawiona, może się wreszcie odprężyć i nie psuć sobie tym krwi. I po prostu usunąć Roberta Carringtona ze swoich myśli.

Z' tym budującym postanowieniem wdrapała się na wysokie, staromodne łoże i wyciągnęła na nim rozkosznie. Niestety, bardzo szybko odkryła, że nie zaśnie tak łatwo, jak myślała.

Nie tylko obraz Carringtona nie chciał wywietrzeć jej z głowy. Zdradzieckie ciało również upominało się o niego. Ella przewracała się z boku na bok, marząc o zbawczym śnie, który nie nadchodził.

Tłumaczyła sobie, że nie chodzi o samego Roberta. Po prostu okazało się, że jak każda młoda i zdrowa kobieta ma potrzeby, których Dave nie chce zaspokoić z racji swoich idiotycznych skrupułów. Tymczasem lordowi dziwnie szybko udało się je w niej rozbudzić.

Gdyby Dave z nią sypiał, nigdy by nie doszło do tak dwuznacznych sytuacji. To seksualna frustracja uczyniła ją słabą i podatną na pokusy.

Wyjaśnienie przyniosło Eleanor pewną pociechę. Jutro, gdy weźmie się do pracy, wolna od kłopotliwej obecności lorda, odzyska dawny spokój.

Przedtem jednak musiała sprostać wyzwaniu nocy. Wbrew woli, raz po raz, kadr po kadrze, stawały jej przed oczami wydarzenia minionego dnia. Dopiero nad ranem zmęczone powieki opadły.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie zaciągnęła wieczorem zasłon i obudziło ją słońce. Zegarek wskazywał wpół do dziewiątej. O tej porze jego lordowska mość kończy już w Londynie śniadanie. I bardzo dobrze.

Jedno z okien było uchylone i Ella, rażno wyskoczywszy z łóżka, pchnęła je szerzej i wyjrzała na dwór. Słoneczny ranek rozbrzmiewał ptasimi trelami. Trawa lśniła diamentami rosy; w niskim kamiennym korycie na wodę kapał się drozd.

Dave musiał już wstać, gdyż nie było go w saloniku. Ella, zakończywszy poranną toaletę, zeszła na dół. W holu powitała ją grzecznie schludna, uśmiechnięta starsza pani.

- Zdaje się, że mam przyjemność z panią Tompkins. - Eleanor odwzajemniła uśmiech.

- Tak jest. Witam serdecznie w naszych progach. Zje pani śniadanie w pokoju czy na dole?

- Na dole.

- W takim razie zapraszam do pokoju śniadaniowego. Pan Benson już tam jest.

Dave rzeczywiście siedział przy stole, racząc się obfitym śniadaniem, z nosem utkwionym w niedzielnej gazecie.

- Wiedziałaś, że jego lordowska mość nas opuści?
- powitał ją bez wstępów.
 - Tak. Ma jakieś sprawy w Londynie.
 - Szkoda, że mi nie powiedziałaś. Pospałbym dłużej.
 - Przepraszam, nie pomyślałam o tym.
 - Przeglądałem właśnie instrukcje, jakie zostawił.
- Wskazał na papiery, rozrzucone niedbale po obrusie.
- Jest tego cała kupa. Drań, oczywiście nie omieszkał przypomnieć, że mamy się stąd nie ruszać. Ciekawe, jak długo go nie będzie.
 - Mówił, że kilka dni.
 - Im dłużej, tym lepiej, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Bo ty, jak widzę, całkiem się z nim dogadałaś. I dobrze, dbaj, żeby miał dobry humor. Jak skończysz jeść, zabieramy się do roboty. Chciałbym się z tym uwinąć możliwie jak najprędzej. Wykańcza mnie ta przeklęta głusza.

Przez następne trzy dni poczynili znaczne postępy, ale większość pracy spadła na Ellę.

Dave, mimo deklaracji, że zależy mu na pośpiechu, nie przejawiał zbytnej aktywności. Zwlekał się z łóżka dopiero koło południa, w podłym nastroju, i klnąc brał się do pracy. Kończył wcześniej, po czym zasiadał przed telewizorem, nie żałując sobie alkoholu.

Chociaż jedzenie było doskonałe, stale grymasił i bywał nieuprzejmy wobec pani Tompkins.

Kiedy Eleanor zwracała mu uwagę, obrażał się i złościł. Cierpiała, gdyż boleśnie odczuwała najmniejsze nieporozumienia między nimi. Zwłaszcza że wybuchały w czasie, kiedy powinni być szczęśliwi, mając

świetnie płatne zlecenie, które spadło im jak manna z nieba. Niestety, nie byli.

Być może, mimo spodziewanych profitów, powinni odmówić. Z drugiej strony nie mieli wielkiego wyboru. Poza tym nigdy nie zobaczyłaby Greyładies. Pokochała to miejsce, chociaż wiedziała, że gdy skończą pracę, już nigdy tu nie wróci.

Smutne, ale przecież pozostaną jej wspomnienia - o domu i jego właścicielu.

Nie potrafiła określić uczuć, których doznawała wobec Roberta Carringtona. Wiedziała tylko jedno - że kompletnie wytrącił ją z równowagi. Starła się o nim nie myśleć, lecz udawało jej się to tylko wtedy, gdy była pochłonięta pracą. Kiedy indziej od razu widziała jego twarz, słyszała głos, czuła dotyk dłoni, pamiętała ironiczny uśmiech i emocje, jakie w niej budził.

Stanowczo musi wziąć się w garść i zamiast rozmyślać o Carringtonie, skupić się na usunięciu rozdźwięku, jaki narastał pomiędzy nią a Bensonem. Bez względu na to, co mówiło jej serce, rozsądek podpowiadał, że powinni jak najszybciej stąd zniknąć. Cóż z tego, że lubiła Greyładies, skoro Dave go nienawidził!

Jak można się było spodziewać, tkwił jak w transie przed telewizorem.

Eleanor przyklękła przy nim i położyła mu rękę na dłoni.

- Tak mi przykro, kochanie - powiedziała miękko.
- Wiem, jak bardzo nie odpowiada ci ta praca...
- Fakt, cholernie mi nie leży.

- Ale to nie powinno psuć niczego między nami, prawda?

- Chyba nie - przyznał niechętnie. - Po prostu działa mi na nerwy siedzenie tutaj jak w mysiej norze.

- Czemu nie wyjdiesz się przewietrzyć? W wiosce jest przyjemny pub...

- Żarty sobie stroisz?

- Co ci szkodzi tam zajrzeć? Wypijesz drinka i...

- Napiłbym się tutaj, gdybyś nie zrzędziła, że korzystam z zapasów lorda.

- Dobrze, nie powiem już ani słowa na ten temat.

- Jest jeszcze coś - mruknął. - Brak mi Londynu, chłopaków, partyjki snookera.

- Oczywiście - przyznała, wyrozumiale pomijając fakt, że przebywają tu zaledwie od kilku dni. - Ale przecież większość wstępnej pracy mamy za sobą. Jeśli dokończymy ją po południu, od jutra będzie można zamawiać sprzęt.

- Masz świętą rację - ożywił się. - Jeśli skoczę do miasta w interesach, jego lordowska mość nie będzie się krzywić. Wiesz co, zamów dziś wcześniejszą kolację. Zaraz potem ruszę i przenocuję w Londynie, a rano od razu pobiegam po dostawcach, żeby zamówić, co trzeba.

Dzień był upalny i Eleanor, czując, że cała się klei, wzięła przed kolacją prysznic, a potem przebrała się w lekką, zapinaną na guziki spódnicę i jedwabny oliwkowy top bez rękawów.

Dave już czekał na dole. Tym razem nie zbeształ jej i posiłek minął w milczeniu, bez złego słowa z jego

strony. Dopiewszy kawę, wstał i wyciągnął z kieszeni kluczyki.

- Kiedy wrócisz? - spytała.

- Jutro w ciągu dnia - odpowiedział niejasno i, cmoknąwszy ją w policzek, odjechał.

Było wciąż gorąco, więc usiadła na bocznym tarasie z książką. Nie ośmieliła się dotąd skorzystać z płytki Carringtona, choć otrzymała jego pozwolenie, ale do biblioteki zaglądała chętnie. Lubiła jej ciepłą atmosferę i spokój. Była tam kilka razy, szperając w książkach i przyglądając się wiszącemu nad kominkiem portretowi Jenny Linton.

Boczny taras wychodził na zachód i tonał w miodowym blasku zniżającego się słońca. Za ledwie zdążyła się usadowić na wyścielonym poduszką fotelu, przyczłapał Paddy i z zadowoloną miną ułożył się u jej stóp. W chwilę później Jessie wskoczyła jej na kolana.

Niebawem Ella odłożyła książkę na stolik i zamknęła oczy, bo słońce przeszkadzało w czytaniu. Nie chciała zmieniać pozycji, aby nie budzić zwierząt.

Rozkoszując się ciepłem, popadła w półsen, ogarnięta słodkim lenistwem, tak niezgodnym z jej naturą. Wtem poczuła, że coś delikatnie muska jej usta.

Podniosła powieki i ujrzała przed sobą opaloną twarz Roberta Carringtona, tak blisko, że obraz był zamazany.

Opierał ręce o poręcze fotela, nachylony tuż nad nią.

Mruknął coś, czego nie dosłyszała, nachylił się jeszcze niżej, zmuszając ją do ponownego zamknięcia oczu, i znów pocałował.

Tym razem pocałunek, choć nienatarczywy, trudno byłoby określić jako niewinny. Drażnił, pobudzał, podniecał i był niezwykle długi.

Kiedy Robert wreszcie się odsunął, Eleanor zanie-mówiła i minęło sporo czasu, zanim zdołała wykrztusić słowo.

- Myślałam, panie Carrington, że uzgodniliśmy, jak-
kie mają być nasze stosunki.

- Przepraszam - powiedział obłudnie - ale nie mo-
głem się powstrzymać. Nie sposób się pani oprzeć.

W lekkim garniturze wyglądał niebywale atrakcyj-
nie i Ella nie mogła oderwać od niego wzroku. Jak
mogła uważać, że ten mężczyzna nie ma wdzięku ani
urody? To prawda, jego rysy nie były regularne, jak
u Dave'a, ale tego się nie zauważało. Liczył się blask,
jaki nadawała tej twarzy inteligencja i żywiołowa emo-
cjonalność. I niezwykle oczy, które zdawały się żyć
własnym życiem.

Robert zdjął marynarkę, cisnął ją na wolne krzesło
i poluzował krawat. Usiadł obok Elli, zawinał rękawy
koszuli, odsłaniając opalone, umięśnione przedramio-
na, i stwierdził z łobuzerską miną:

- Dobrze, jeśli szanowna pani tego sobie życzy.
Spróbuję oficjalnie. Jak idzie praca?

- Bardzo dobrze - odrzekła, czując, że głos ma
wciąż drżący. - Wstępny projekt jest gotowy i może-
my przechodzić do następnego etapu.

W tym momencie z wnętrza domu wynurzył się
Tompkins z tacą, na której niósł wysoki dzbanek
i dwie szklanki.

- A oto i kruszon, o który prosiłem. Dzięki, Tompkins. Sam naleję. Musi pani wiedzieć, że kruszon Tompkinsa nie ma sobie równych.

Napełniwszy obie szklanki, wręczył jej jedną i czekał, aż upije pierwszy łyk chłodnego, owocowo-alkoholowego napoju. - No i co ty na to?

- Mmmm... Pyszne!

- Piłaś kiedyś lepszy?

- To mój pierwszy kruszon w życiu.

Wszystkie jego ruchy miały w sobie męską grację i patrzeć na niego było czystą przyjemnością. Przyglądała mu się ukradkiem spod rzęs, gdy nagle przyszło jej do głowy, że dobrze byłoby poinformować Roberta o wyjeździe Bensona, zanim sam o to zapyta.

- Dave pojechał do Londynu - rzuciła z udawaną obojętnością.

- Już? Myślałem, że pojedzie jutro.

- Lepiej, że pojechał dziś - wyjaśniała pośpiesznie.

- Będzie mógł z samego rana odwiedzić dostawców i zorganizować natychmiastowy dowóz mebli i sprzętu.

- Słusznie - zgodził się Carrington. - Ale teraz - rzucił nagle - opowiedz mi jeszcze coś o sobie.

- O sobie? - zająknęła się. - Czemu?

- Oprócz tego, że dwukrotnie cię całowałem, wiem o tobie bardzo niewiele.

- I niewiele mam ciekawego do opowiedzenia. Moje życie było szare i zwyczajne.

- Po prostu powiedz coś bliższego o sobie - poprosił, niezrażony jej oporem. - Jak ci się żyje? Co ci przychodzi łatwo, a z czym masz problemy?

- Zanudziłabym cię.
- Spróbuj! To może być fascynujące.
- Wątpię.
- Wystarczy zacząć. - Ujął ją za rękę. - Jeśli masz opory, możemy rozpocząć od konkretów. Jak długo znasz Bensona i gdzie się poznaliście?

- Och, znamy się od dzieciństwa. Byliśmy razem w Sunnyside. Tak nazywał się nasz sierociniec.

- Jak on tam trafił?

Ella odetchnęła z ulgą. Spodziewała się raczej, że spyta o nią. Dużo łatwiej będzie się jej mówiło o Bensonie.

Cofnęła rękę. Czuła, że jego dotyk będzie ją rozpraszał.

- Porzucono go, gdy był bardzo mały - zaczęła, już teraz spokojnie. - Potem został adoptowany, ale przybrani rodzice się rozeszli i wrócił do przytułku. Próbowano go znów przysposobić, lecz okazał się trudnym dzieckiem i nic z tego nie wyszło.

- Tak więc znacie się dobrze? - spytał Carrington z wyraźnym zainteresowaniem.

- Dave jest o rok czy dwa lata starszy, więc wtedy zbyt dobrze się nie znaliśmy, ale brak mi go było, kiedy opuścił Sunnyside.

- Pozostaliście w kontakcie?

- Nie. Spotkaliśmy się przypadkowo w supermarkecie, gdzie pracowałam jako kasjerka. Oboje snuliśmy różne plany na przyszłość.

- Jakiego rodzaju?

- Chciałam otworzyć sklepik z używanymi książkami albo herbacianię.

- Jednak zmieniłaś zdanie.
- Benson zaproponował mi wspólny interes.
- Co on w tym czasie robił?
- Studiował. Brakowało mu roku do dyplomu.
- Miał stypendium?
- Nie. Nie chciał się od nikogo uzależniać.
- Było mu trudno wiązać koniec z końcem?
- Jakoś sobie radził.
- Z twoją pomocą? - Pytania padały jedno za drugim, jak na śledztwie.

Milczenie Elli starczało Robertowi za odpowiedź.

- Podczas naszej poprzedniej rozmowy mówiłaś o pracy w hotelu, ale teraz wspomniałaś o supermarkecie...

- W hotelu pracowałam w dzień, a w supermarkecie w wolne weekendy lub wieczory.

- Jak długo harowałaś w ten sposób? - Łagodnie musnął jej dłoń.

- Niecałe cztery lata.

- Bez urlopu?

- Potrzebowałam pieniędzy.

- Oczywiście - powiedział wolno. - Bez pieniędzy nie da się uruchomić żadnego biznesu. Kto wyłożył fundusze na założenie firmy Smith i Benson?

- Nawet to cię obchodzi? - zachnęła się.

- Typpek w rodzaju Bensaona nie zawahałby się przed wykorzystaniem kobiety - zauważył cierpko w odpowiedzi.

- Jak śmiesz go szkalować?! - zawołała z furją, zrywając się na równe nogi. - Chociaż nie ma takich

atutów jak ty, miał dość odwagi, by chcieć coś osiągnąć. Ty jesteś w czepku urodzony - perorowała ze wzrastającą irytacją. - Tacy ludzie nie mają bladego pojęcia, czym może być nędza. Nie wiedzą, co to znaczy być niechcianym i porzuconym. Jak dorasta się w domu dziecka, bez rodziny, bez niczyjej troski i miłości! - wyrzuciła z siebie z bólem.

Krzusząc się, oślepią łzami gniewu, chciała się oddalić, ale Carrington stanął jej na drodze, tak że wpadła w jego objęcia.

Łkając, na próżno starała się uwolnić. Robert nie puścił jej. Zwarł ramiona delikatnie, lecz mocno, aż w końcu zrezygnowała. Stała spokojnie z opuszczoną głową, już nie myśląc o ucieczce.

- Spójrz na mnie - poprosił, osuszając jej chusteczką łzy.

Gdy usłuchała, powiedział miękko:

- Wybacz mi, Eleanor. Nie chciałem cię zdenerwować. Chodźmy się przejść do ogrodu - dodał, splatając palce jej ręki ze swoimi.

Ruszyli w stronę łuku z cisów, z posapującym Paddingtonem, truchtającym ich śladem.

- Nie miałeś prawa tak kategorycznie osądzać Dave'a - powiedziała Ella z goryczą. - Zrobiłeś z niego nieomal oszusta. On taki nie jest.

- Trudno mi zmienić zdanie o Bensonie, ale rozumiem, że przynajmniej na razie powinienem je zachować dla siebie.

- Twój atak był bezpodstawny - stwierdziła uparcie.

- A twoja napaść na mnie? - odparował. - Przyznaję, że nigdy nie cierpiałem nędzy, ale wiem dobrze, jak to jest być dzieckiem niekochanym i odrzuconym przez własnych rodziców.

- Rodzice cię nie chcieli? - spytała zaskoczona.

- Tak. Zdawałem sobie z tego sprawę od dziecka, lecz nie wiedziałem, dlaczego tak się dzieje. Dopiero dziadek wytłumaczył mi to, kiedy byłem trochę starszy. Moja matka... - ciągnął - była motylkiem bez cienia instynktu macierzyńskiego. Nie chciała mieć dzieci, ale uległa woli ojca, który pragnął, by mu urodziła syna. Stanowili osobliwą parę... Ona niziutka, piękna, wesoła, goniła wciąż za rozrywkami. On - wysoki, poważny i opanowany, niezbyt przystojny - bezgranicznie ją uwielbiał. Poród był ciężki i od razu powędrowałem pod opiekę niańki; matka nie chciała się mną zajmować. Fizycznie wydobrzała, lecz poza tym zmieniała się nie do poznania. Popadła w tak zwaną depresję poporodową. Nie wychodziła z domu, strońska od ludzi i przez długie godziny po prostu siedziała, zapatrzona w przestrzeń. Ojciec, który bardzo ją kochał, poczuwał się do winy za ten stan rzeczy: Choć wcześniej tak pragnął syna, teraz nie znosił mojego widoku. Aż do wieku szkolnego zajmowały się mną niańki. Potem ulokowano mnie w szkole z internatem, a podczas ferii i wakacji przekazywany byłem już to przyjacielom ojca, już to krewnym, niby kukułcze jajo. Dopiero gdy dziadek dowiedział się o tym, zabrał mnie do siebie. On jeden darzył mnie uczuciem.

Miałem jedenaście lat, gdy matka zmarła wskutek przedawkowania środków nasennych. Tak głosiła oficjalna wersja. Jak było naprawdę - nie wiem.

Doszli do ławki i usiedli na niej zgodnie, a dyszący z gorąca Paddy klapnął na ziemię u ich stóp.

- W rok później - podjął Carrington - mój ojciec ożenił się powtórnie z Kanadyjką o imieniu Miriam, wdową po ranczerze. Była to rośła, wesoła kobieta, która miała dwóch synów i córkę, dzięki czemu choć przez pewien czas czułem się częścią szczęśliwej rodziny. Jednak, chociaż Miriam mnie akceptowała, ojciec nadal nie potrafił się przełamać i kiedy przenieśli się do Kanady, nie wzięli mnie z sobą. Wówczas dziadek wszystko mi opowiedział.

Robert mówił spokojnie, beznamiętnie, bez cienia uzalania się nad sobą, lecz uwagi Eleanor nie uszedł smutek, starannie skrywany pod racjonalną maską. Ogarnęła ją fala współczucia dla tego niezwykłego człowieka.

Położyła mu impulsywnie dłoń na ramieniu i ten pierwszy kontakt z ciałem Roberta, wynikły z jej inicjatywy, był dla niej takim szokiem, że natychmiast cofnęła rękę.

- Nie ma potrzeby mnie żałować - powiedział niemal szorstko. - Tak jak mówiłaś, należę do szczęśliwców, w czepku urodzonych.

- Przepraszam - szepnęła. - Wiem, że bogactwo nie jest lekiem na brak miłości. Ani na samotność.

- W sensie fizycznym nigdy nie byłem samotny. Prawdę mówiąc - dodał z szelmowskim uśmiechem -

świetnie się bawiłem po odkryciu przyjemności, jakich może dostarczyć obcowanie z płcią odmienną. Lecz ty pewnie miałaś na myśli samotność duchową.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Tak - spoważniał. - Tego rodzaju pustki nie da się wysławić. Masz za sobą pobyt w domu dziecka, więc wiesz o tym dużo więcej... Ja miałem przynajmniej podporę w dziadku.

- Musiało ci być bardzo smutno, kiedy umarł.

- Rzeczywiście. I wciąż mi go brakuje. Ale dosyć tych posępnych wspomnień. W porównaniu z innymi, moje życie było usłane różami.

Wstając, jednym płynnym ruchem wziął Etlę za rękę i podniósł z ławki. - Poza tym mam nadzieję, że niebawem spotka mnie coś bardzo miłego. A teraz chodźmy - zachęcił, nie wyjaśniając, co miał na myśli. - Pokażę ci jezioro.

- Masz tu także jezioro?

- Raczej staw, ale nazywamy go na wyrost jeziorem.

Napięcie między nimi zelżało. Po tym, jak Robert opowiedział jej szczerze o swoim dzieciństwie, Eleanor poczuła się swobodniej. W przyjaznym milczeniu wyszli z ogrodu. Słońce chowało się za horyzont. Jego ostatnie promienie rozszczepiały trawę na miriady złocistych ździebełek, a stare dęby rzucały wydłużone cienie. Po kilku minutach ujrzeni przed sobą niewielkie lustro wody. W jego gładkiej powierzchni odbijała się cała paleta barw wieczornego nieba. Brzegi porośnięte były pierzastymi trzcinami, a na środku wyrastała garbata wysepka z pojedynczą sosną.

- No i co to jest według ciebie? - Carrington pytająco uniósł brwi.

- Och, po prostu miłe bajorko.

- Dlaczego?

- Nie widzę kaczek.

W tymże momencie z szumiącej gęstwy wyłoniło się stadko kaczek i cichutko jak indiańscy wojownicy przecięło wodę, zostawiając na niej trójkątne zmarszczki.

Jak na komendę oboje parsknęli śmiechem.

Kiedy umilkli, Robert, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Elli, powiedział:

- Kiedy się śmiejesz, jesteś absolutnie urzekająca.

W chwilę później znalazła się w jego objęciach. Całowana z mocą i wirtuozerską znajomością rzeczy, niemal straciła oddech, a tętno załomotało gorączkowym rytmem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nogi odmawiały Elli posłuszeństwa; wtulona w Roberta, topniała jak wosk pod wpływem odurzających pocałunków, poddając się ich magii.

Nagle bolesne ukłucie w łydkę wybiło ją z transu, przywracając do rzeczywistości.

Spojrzała w dół i zobaczyła Paddingtona, który napierał na nią z długim patykiem w pysku.

- Ratunek w ostatniej chwili - powiedział smętnie Carrington. - Skaleczył cię? Boli?

- Nic się nie stało, tylko zadrapał.

W głębi duszy była wdzięczna pocziwemu zwierzakowi, który ocalił ją przed własną słabością. Kto wie, do czego by doszło, gdyby nie stary Paddy!

Odwróciwszy się, ruszyła pospiesznie przed siebie, zła, że znów się zbłądziła.

Robert dogonił ją i szedł obok w milczeniu, od czasu do czasu przystając, żeby rzucić psu patyk.

Co mnie, u licha, naszło? - myślała zdesperowana. Najwyraźniej straciła zdolność panowania nad swoimi uczuciami i reakcjami. Przez całe życie musiała trzymać w ryzach swoje pragnienia i doskonale potrafiła się kontrolować.

Dlaczego teraz nie potrafi?

Przecież nie ma szczególnie wybujałego temperamentu. Nawet jej pociąg do Dave'a był tyleż fizyczny, co duchowy. Potrzebowała jego obecności, kogoś, kto powie jej dzień dobry i dobranoc, kto zje z nią śniadanie, a nie tylko pójdzie do łóżka. Pragnęła ciepła opartego zarówno na przyjaźni, jak i na seksie.

Fajnie, tylko czemu rozklejała się, jak tylko Carington dotknął jej palcem?

- Możemy wejść przez taras - głos mężczyzny przerwał gorączkowy tok myśli.

Gdy przechodzili przez hol, na twarz Elli padło światło z kandelabru.

- Przez ten pośpiech dostałaś rumieńców - stwierdził lord, którego uwagi nie uchodził żaden szczegół.

- Wieczór jest ciepły - mruknęła.

- Dlaczego maszerowałaś tak szybko? Może chodziło o ucieczkę przed pokusami?

- Wcale nie - zaprotestowała nieszczerze. - Po prostu chcę jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

- W swoim czy w moim? - podchwycił ze złojeckim błyskiem w oku. - Bo ja też mam taki zamiar.

- Oczywiście, że w swoim, i to sama - zaznaczyła, zatrzymując się przed drzwiami pokoju.

- Doskonale - zgodził się. - Ale nie odejdę, jeśli nie dostanę całusa na dobranoc.

Ella, ogarnięta paniką, cofnęła się o krok i poszukiwała za plecami klamki. Drzwi uchyliły się nieznacznie.

- Nie ma powodów do takiej trwogi - powiedziała uspokajająco. - Nie zamierzam wtargnąć za tobą do środka i użyć przemocy.

Ter zapewnienie tylko przyspieszyło jej puls. Gdyby wszedł za nią, nie musiałby używać siły...

- Poza tym - dodał - jako dżentelmen nie wejść bez zaproszenia.

- W takim razie czuję się bezpieczna.

- Dostatecznie, by zaryzykować pocałunek?

- Nie mam ochoty się z tobą całować!

Bez słowa położył jej dłoń na szyi i przyciągnął do siebie.

Eleanor nie mogła oderwać wzroku od nachylających się ku niej ust Roberta.

W ułamku sekundy dotknął wargami jej warg, dość delikatnie, ale efekt był równy ciśnieniu zapałki do zbiornika z benzyną.

Zapłonęła jak pochodnia i w jednej chwili jej duma, samokontrola, skrupuły - wszystko ulotniło się pod wpływem podniecenia. Rozchyliła bezwolnie usta i zarzuciła Robertowi ramiona na szyję.

I tylko jakiś strzępek zdrowego rozsądku napominał ją ostrzegawczo, że jest zaręczona, a Carrington pragnie jedynie zabawić się jej kosztem.

Spłoszona, próbowała się wyrwać, ale posłuszne były tylko nogi; ramiona nadal trzymały się jego szyi, a usta wciąż przywierały do jego ust. Kiedy drzwi otwały się szerzej, wsunęli się do pokoju.

Robert, biorąc reakcję Elli za zaproszenie, zatrzasnął drzwi końcem buta i przyparł ją do boazerii. Nie przerywając pocałunku, zaczął błędzić ręką po jej gładkim ciele.

Gdy natknął się na miękką wypukłość piersi i po-

cierał kciukiem guziczek sutka, Eleanor przeniknął rozkoszny dreszcz. Nerwy miała naprężone jak postronki, a krew w żyłach zdawała się wrzeć jak lawa.

Raptem Carrington odezwał się:

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Czar prysnął. Podczas gdy jej ciało krzyczało „tak!”, umysł odzyskał nad nim władzę i kazał zawołać „nie!”.

- Naprawdę nie chcesz? Nie odniosłem takiego wrażenia - rzucił na pozór spokojnie, ale oddychał ciężko i spostrzegła, że był pobudzony nie mniej niż ona.

- Jest przecież Dave - wykrztusiła.

- Teraz go nie ma...

- Proszę, wyjdź teraz. Benson wyjechał, lecz w dalszym ciągu pozostaje moim narzeczonym. Nie chcę go oszukiwać.

- A co on teraz porabia, twoim zdaniem? - rzucił ostro.

- Na pewno nie ma przy nim innej kobiety, jeśli to chciałeś zasugerować.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie, więc oszczędź sobie jadu i nie oczeraniaj go.

- Nie próbowałem oczerniać twojego ideału. Chciałem tylko podkreślić...

- Nic już nie podkreślaj, błagam. - Nagle poczuła się nieszczęśliwa i zmęczona. - Idź już.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem powoli skinął głową.

- A zatem dobranoc, Eleanor.

- Dobranoc... Robercie.

- Cieszę się, że wreszcie przypomniałaś sobie, jak mam na imię. - Pocałował ją leciutko w usta i cicho zamknął za sobą drzwi.

Pożegnalny pocałunek, choć tak zwiewny, był jak najbardziej władczy. Carrington jasno dawał do zrozumienia, iż ma prawo do takich gestów, bowiem Eleanor Smith należy do niego.

Ta świadomość podziałała na nią dziwnie obezwładniająco. Zrobiła kilka kroków i osunęła się na tapczan. Myśli znów zawirowały jej w głowie. Ten człowiek był zupełną zagadką, a ona sama zachowywała się przy nim w zupełnie dziwny sposób.

Zmusiła się, aby rozumować chłodno i logicznie, lecz znaki zapytania mnożyły się.

Dlaczego, mając do wyboru wiele renomowanych firm, zwrócił się właśnie do nich? A potem, stwierdziwszy, że mają nikłe doświadczenie, zatrudnił ich mimo wszystko? Czyżby powierzył im zlecenie i nalegał na zamieszkanie w Greyladies, tylko po to, by ją uwieść?

Och, nie bądź głupia, ofuknęła się. Czemu, mogąc przebierać w kobietach niczym w ulegałkach, miałby sobie zadać tyle trudu dla kogoś tak nieciekawego, jak ona?

A jednak... coś w tym było. Coś, czego nie mogła rozgryźć. Carrington nigdy nie traktował jej jak wynajętego pracownika. A może przyczyną jest jej reakcja na jego umizgi? Spozstrzegł, że jest nim zafascynowana, i postanowił sprawdzić, jak daleko się posu-

nie, mimo że jest zaręczona? Są mężczyźni, których podniecają takie gry.

Carrington nie cofnąłby się przed niczym. Wyraźnie nie cierpiał Bensona i od początku to okazywał.

Dobrze, ale dlaczego zlecił im tę pracę?

Myśli zatoczyły krag i Eleanor resztką woli postanowiła dać sobie z tym wszystkim spokój, przynajmniej na razie. Wzięła prysznic, umyła zęby, przeczesowała włosy, włożyła nocną koszulę i weszła do łóżka.

Sięgnęła po książkę, którą zaczęła czytać, lecz nie znalazła jej. Po chwili przypomniała sobie, że zostawiła tomik na tarasie. Z westchnieniem wstała z łóżka. Jako nałogowa czytelniczka nie potrafiła zasnąć, nie przeczytawszy przynajmniej paru stron. Poza tym nocna rosa nie robi dobrze książkom. Włożyła szlafrok, wsunęła stopy w pantofle i po cichutku przemknęła przez podest na boczne schody. Księżycowe promienie przesiewały się przez szybki, oświetlając drogę.

Boczne drzwi były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku. Przekreśliła go, odciągnęła zasuwę i weszła na taras. Książki nie było na stoliku. Ktoś musiał ją sprzątnąć.

Niebo było czyste, usiane gwiazdami, powietrze przesycone woniami nocy. Wąły wietrzyk poruszały liśćmi buku, gdzieś niedaleko pohukiwała melancholijnie sowa. Było w tym krajobrazie tyle magii, że Elli nie chciało się wracać. W samą porę przypomniała sobie, że jutro przyjedzie Dave i od rana czeka ją praca. Musi choć trochę odpocząć.

Wracając postanowiła skrócić do biblioteki, aby wyszukać, sobie coś innego do poczytania przed snem.

Zdając sobie sprawę z bliskości pokojów Carringtona, zapaliła światło w bibliotece dopiero po staranym zamknięciu za sobą drzwi. Jak zwykle przystanęła na moment przed portretem nad kominkiem, po czym, uśmiechnąwszy się do Jenny Linton jak do starej przyjaciółki, podeszła do półek. Gdy zdecydowała się na „Sagę rodu Forsyte'ów”, poczuła nagle, że nie jest sama, choć nie świadczył o tym żaden dźwięk.

Obejrzała się i serce jej zamarło. Małe drzwi w boazerii, których poprzednio nie zauważyła, były otwarte. Stał w nich Robert Carrington, wsparty o framugę, obserwując ją spod na wpół przymkniętych powiek.

Był bosy; miał na sobie krótki granatowy szlafrok, odsłaniający opalone, muskularne nogi. Mokra i zmierzwiona czupryna świadczyła, że dopiero wyszedł spod prysznic. Wyglądał bardzo męsko, kusząco i groźnie zarazem.

- Cóż to, nie możemy zasnąć? .- spytał, unosząc brwi.

- Nie mogłam znaleźć książki, którą czytałam - wymamrotała - więc przyszłam wyszukać sobie inną.

- No i co wybrałaś?

- „Sagę rodu Forsyte'ów”. - Mocniej przycisnęła tom do piersi. - Przepraszam, że przeszkodziłam. Staralam się poruszać cicho.

- Wiem, ale mamy tu ostrzegawczy system elektroniczny, reagujący na ruch. Jeszcze chwila, a włączyłby się alarm. Na szczęście zjawiłem się w porę, bo miałem akurat zrobić sobie kawę. Może napijesz się ze mną?

- Nie! - Słyszac panikę we własnym głosie, dodała spokojniej: - Dziękuję, ale nie pijara kawy na noc.

- Cóż, jeśli gardzisz bezkofeinową neską z dodatkiem brandy, chętnie pomogę ci zasnąć w inny sposób.

- Naprawdę dziękuję - odparła Ella drżącym głosem, świadoma podtekstu jego słów. W mózgu zapaliło się alarmowe światełko, dające rozkaz do natychmiastowej ucieczki. Zaczęła się cofać, nie spuszczać wzroku z Roberta, jakby był jakaś niebezpieczna bestia.

- Jutro mam dużo pracy, więc pójdę już, bo muszę się wyspać.

Cofając się, zmyliła kierunek i uderzywszy łydkami o sofę, wylądowała na niej z impetem.

Jednak zdecydowałaś się zostać? - Znalazł się przy niej w mgnieniu oka.

- Dobrze wiesz, że nie.

- Pomogę ci wstać. - Ze śmiechem pociągnął ją za rękę.

Stanąła nieruchomo, z książką przyciśniętą do piersi, wpatrzona w niego wielkimi, szarymi oczami.

Byli tak blisko siebie, że czuła zapach żelu, którego użył pod prysznicem, i ciepło bijące od jego ciała. Carington nachylił się powoli i pocałował ją w usta. Miękki dotyk warg wywołał w niej gwałtowny odzew.

Kiedy rozchyliła usta, całował ją coraz goręcej, z pasją, która i jej zaczęła się udzielać.

Nagle przestało istnieć wczoraj i jutro, liczyło się jedynie tu i teraz. Eleanor nie czuła nic, prócz błogiego, narastającego podniecenia, które jak gęsta mgła odcinało ją od świata.

„Saga rodu Forsytle'ów" osunęła się niezauważalnie na podłogę.

Robert rozwiązał sznur jej szlafrocza, a gdy ten opadł na dywan, bez protestu pozwoliła zsunąć sobie z barków ramiączka koszuli i pozbyła się jej zmysłowymi ruchami bioder.

Ćarrington, nie przerywając pocałunku, jedną ręką podtrzymywał głowę Elli, podczas gdy druga wędrowała po nagim ciele. Gdy dotknął napiętych sutków, wydała z siebie miękkie, gardłowe odgłosy.

Zadrżał i raptownie odsunął ją na odległość ramion.

- Jeśli nie chcesz się ze mną kochać, lepiej powiedz to teraz, póki jeszcze potrafię się opanować - rzucił.

Milczała, niezdolna wymówić słowa.

Potrząsnął nią lekko i powiedział rozkazująco:

- Eleanor, spójrz na mnie.

Otworzyła oczy, tak zasnute namiętnością, że zdawały się niemal czarne.

- Chcesz, żebym się z tobą kochał?

Przytaknęła bezgłośnie.

- To nie wystarczy - nalegał nieubłaganie. - Chcę, żebyś mnie głośno poprosiła.

- Proszę...

- Prosisz o to?

- Tak... Proszę - powiedziała zduszonym głosem. W tej samej chwili, w przebłysku lodowatego otrzeźwienia, pomyślała, czy teraz, gdy już zwyciężył, po prostu odrzuci ją i odejdzie.

Robert z cichym pomrukiem triumfu wziął ją na ręce i zaniósł do swojej sypialni. Centralne miejsce

w pokoju zajmowało wielkie łoże z niebiesko-złotym baldachimem. Okno było otwarte, a w powietrzu błąkał się zapach kwiatów.

Ułożył Ellę delikatnie na pościeli i przystanął, przypatrując się jej.

Nie czuła się zawstydzona. Żar w oczach Roberta powiedział jej dobitnie, że spodobało mu się to, co zobaczył.

Nagłym ruchem zrzucił z siebie szlafrok i cisnął na krzesło.

Wysoki, barczysty, o wąskich biodrach, wyglądał jak uosobienie męskości.

Czyżby miała za sobą spalić wszystkie mosty? A niech się dzieje, co chce! - pomyślała. Sprawy zašły już tak daleko, że żadna siła nie zdoła jej zmusić do odwrotu.

Robert położył się obok i objął ją za szyję. Przywarła do niego i znów połączył ich długi, porywczy pocałunek. Całując, pieścił dłonią jej ciało, zsuwając rękę poprzez biodra i brzuch ku miękkiemu kędzierzawemu gniazdku w zakątku ud.

Wzdrygnęła się, wydając stłumiony okrzyk. Natychmiast cofnął rękę.

- Nie bój się, kochanie - szepnął. - Chcę, żeby było pięknie, i postaram się nie zmarnować tej szansy.

Wtulił twarz między piersi Elli i muskając je ustami, dodał:

- Zrobimy to bardzo wolno.

Przebudziła się wczesnym rankiem z uczuciem, że świat jest cudowny, i z radosną świadomością, że nie jest w łóżku sama.

Ich ciała się nie stykały, ale niemal namacalnie czuła za plecami obecność mężczyzny, mocne uderzenia jego serca, powiew oddechu na swoich włosach.

Obróciła ostrożnie głowę, chcąc popatrzeć, nie budząc go.

Leżał na boku, pogrążony we śnie. Na policzkach pojawiła się złotawa szczecina zarostu. Nie widziała go dotąd nieogolonego i pomyślała, że tak wygląda jeszcze seksowniej.

Noc była ciepła i spod rozrzuconej pościeli wystawały muskularne ramiona i nogi.

Och, jak wspaniale się z nią kochał! Rozkoszy, którą jej ofiarował, niepodobna opisać słowami. Kilkakrotnie przeniosła się dzięki niemu w niebiańskie rewiry, skąd spadają gwiazdy i gdzie rozbrzmiewają anielskie chóry. Aż westchnęła z zachwytu, wspominając te niedawne chwile.

Nagle dostrzegła, że Robert już nie śpi i przypatruje się jej, mrużąc oczy w ostrym blasku wstającego dnia.

- Co to za westchnienia? - spytał, leniwym gestem przyciągając ją do siebie. - Czyżbym cię rozczarował? Jeśli tak, możemy ponowić starania.

- Nie jestem rozczarowana - powiedziała, opierając brodę o jego pierś. - Było bosko - dodała nieśmiało.

- W takim razie - rozpromienił się - chętnie bym się upewnił, czy nie wyszedłem z wprawy.

Okazało się, że nie wyszedł.

Kiedy Eleanor znowu ocknęła się z błogiej drzemki, blask słońca zalewał pokój. Tym razem była jednak sama w wielkim łożu. Zrelaksowana, przesycona rozkoszą, rozleniwiona senną samozatrą, powoli, bardzo powoli powracała do rzeczywistości.

Kiedy to się stało, świat nabrał nagle czarnych barw. Boże drogi, jak mogła?

Nerwowo usiadła na łóżku i zmartwiała, słysząc dyskretne pukanie do drzwi.

Jak teraz spojrzysz w twarz pani Tompkins?

Odpierając dzielnie chęć dania nurka pod kołdrę, podciągnęła ją tylko pod brodę, gotowa stanąć pod pręgiem.

Ale do sypialni wszedł Robert, niosąc na dłoni jak kelner okrągłą tacę. Wyglądał niesamowicie atrakcyjnie, odświeżony, ogolony, ubrany w jasne spodnie i ciemną koszulę, rozpiętą pod szyją.

Ella spaşowiała. Co on sobie o niej myśli?

- Dzień dobry - powitał ją z uśmiechem. - Pomyślałem, że już dojrzałaś do kawy.

Patrzyła na niego oniemiała, niezdolna wykrztusić słowa.

Postawił tacę na stoliku przy łóżku, nachylił się i pocałował ją w usta, jakby to było najzupełniej naturalne.

- Z mlekiem? - spytał.

- Tak, proszę - powiedziała słabym głosem.

Popijając gorący, wonny płyn, zastanawiała się, co ma mu powiedzieć.

Nic nie mogło usprawiedliwić jej postępowania. Zachowywała się jak kobieta bez zasad i oboje o tym wiedzieli.

Wtem z biblioteki dobiegło ją bicie ściennego zegara. Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Nie, to niemożliwe!

Odstawiła kubek i spojrzała na swój zegarek. Dwunasta! Dave na pewno już wrócił, a ona leży naga w łóżku lorda Carringtona!

Spanikowana, odrzuciła kołdrę, żeby wstać, ale silna dłoń przytrzymała ją.

- Spokojnie, eo się stało?

- Czy Dave już wrócił?

- Jeszcze nie. Widzę, że zaczynasz żałować tego, co zaszło.

- Jak ja mogłam mu to zrobić? - nieomal załkała.

- Nie uważasz, że wina leży po jego stronie?

- Dlaczego tak sądzisz? - zawołała z oburzeniem i nagle, zrozumiałwszy, co miał na myśli, spłonęła rumieńcem.

Robert nie był naiwny. Fakt, iż dziewczica ochoczo oddaje się prawie nieznanemu mężczyźnie, musiał doprowadzić go do jednoznacznych wniosków.

Padła ofiarą własnej słabości i skrajnej frustracji.

Ale to wcale nie znaczyło, że ma sobie wybaczyć. A tym bardziej nie wybaczy jej Dave.

- Z zachwytem stwierdzam, iż jesteś kobietą obdarzoną temperamentem. Tym bardziej cię podziwiam, że tak długo udało ci się zachować cnotę dla narzeczonego - stwierdził Robert z nutą ironii.

- Nigdy nie miałam czasu na randki. Byłam zbyt zajęta pracą.

- Cóż, nie ma tego złego... Dziewictwo w dzisiejszych czasach to cenny podarunek.

Tyle że ofiarowała go niewłaściwemu mężczyźnie.

Jakby czytając w jej myślach, dodał z uszczypliwym uśmiechem:

- Przyjąłem dar z radością, mimo że był przeznaczony dla Bensona.

- Nie przypuszczałam, że należysz do mężczyzn, którzy znajdują upodobanie W defloracji dziewczyn - odpaliła.

- Nie. Chyba że cieszę się ich pełną współpracą.

- W moim przypadku ją miałeś - przyznała z gorącością. Musiałam chyba oszaleć! Jak ja mu to powiem?

- myślała z drzeniem.

- Chcesz się przyznać?

- Inaczej nie byłabym wobec niego w porządku.

- Czy Benson zawsze był wobec ciebie w porządku?

- Zawsze! A teraz proszę, pozwól mi wstać. - Ella nerwowo rozejrzała się za swoją nocną koszulą i szlafrokiem.

- Kiedy spałaś - wyjaśnił obojętnie - zabrałem stamtąd twoje rzeczy. Są już u ciebie w pokoju. Przyniosłem ci też coś do ubrania. Znajdziesz wszystko w łazience.

- Dzięki, już tam idę. - Przemknęła obok niego, lecz nagle przystanąła, na próżno szukając drzwi. Rozglądała się bezradnie, choć była pewna, że powinny być tam, dokąd się zwróciła.

- Co się stało? - zdziwił się Carrington.

- Chyba coś mi się pomyliło - powiedziała, niepewnie trąc czoło. -¹ Zdawało mi się, że drzwi do łazienki znajdują się w tym rogu.

- Owszem, kiedyś tam były, ale kiedy dziadek kazał zmienić układ pokoiów, umieszczono je tutaj - w prawym rogu, obok garderoby. Znów masz przebłysk jasnowidzenia!

- Niemożliwe, nie posiadam takiego daru. Po prostu łazienka w moim mieszkaniu jest identycznie położona i zadziałał odruch.

- Być może - zgodził się, choć nie sprawiał wrażenia przekonanego. - Dzień jest taki śliczny - dodał - że chyba zjemy lunch na tarasie?

Wolałaby tego uniknąć, lecz nie chciała wkraczać na wojenną ścieżkę.

- Dzięki, ale pewnie zaraz wróci Dave i będzie trzeba wziąć się do pracy.

- Jeśli wróci... - stwierdził Robert z dziwną miną, ruszając do wyjścia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Ella popędziła do łazienki, wzięła szybki prysznic, ubrała się i przemknęła chyłkiem do swojego pokoju.

Jeżeli Dave już wrócił, mogłaby natychmiast oczyścić sumienie, wyznając mu swą perfidię. Tylko czy będzie to odpowiednia chwila?

I czy w ogóle taka chwila nastąpi?

Dave nienawidzi Carringtona, co oznacza, że odczuje cios w dwójnasób. Jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Kto wie, czy w odruchu wściekłości nie zrezygnuje z pracy i z miejsca nie odjedzie do Londynu.

Tak, lecz zerwanie kontraktu oznacza również zwrócenie czeku. Jak sobie wtedy poradzą?

Popadną w prawdziwe tarapaty. Trzeba będzie pewnie ogłosić upadłość. Tylko firmy, czy także naszego narzeczeństwa? - pomyślała z przerażeniem.

Może lepiej powiedzieć mu wszystko po ukończeniu pracy? Miotana wątpliwościami, Ella nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić, nie znajdując śladu Dave'a ani w saloniku, ani w jego sypialni.

Cóż, przynajmniej zyska trochę czasu, żeby obmyślić najlepszą strategię. Z poczuciem ulgi, podszytej

tchórzostwem, zeszła na taras, gdzie nakryto stół do zimnego lunchu.

Carrington z uśmiechem wstał na jej widok zza stołu. Ze zdziwieniem spostrzegła, że jest w krawacie. Wysunął jej krzesło, a kiedy usiadła, zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Mimo że postanowiła zachowywać wobec niego chłodny dystans, owa staroświecka kurtuazja sprawiła jej przyjemność.

- Napijesz się wina? - spytał, sięgając po butelkę.

- Nie, dziękuję. Wolę wodę mineralną, ale ty się nie krępuj.

- Nie będę pić wina, bo po południu zamierzam zabrać cię na przejażdżkę po okolicy. Tutejszy malowniczy krajobraz z pewnością ci się spodoba.

- Dziękuję, ale naprawdę...

- Czyżbyś nie lubiła wsi? W czym problem?

- To nie najlepszy pomysł. Dave może wrócić lada chwila.

- Naprawdę wierzysz, że przygna tu na złamanie karku?

- W każdym razie - powiedziała wykrętnie - nie chcę cię odrywać od twoich zajęć, a i ja mam pracę.

- Dzisiaj zrobiłem sobie wolny dzień. Nie jestem już taki młody, a moja energia uległa pewnemu hm... nadwątleniu - dodał z łobuzerskim uśmieszkiem.

Eleanor poczerwieniała jak piwonia.

- No to załatwione - oznajmił z satysfakcją, nie słysząc protestu. - Dokąd chciałybyś pojechać?

- Nie wiem, ja...

- Proponuję Cromford Edge. Jest tam najlepszy w okolicy punkt widokowy oraz lokal, w którym podają wyśmienitą herbatę. Odpowiada ci to?

Rozsądek mówił Elli, że powinna odmówić. Z drugiej strony bardzo chciała z nim jechać i w końcu pod presją sprzecznych uczuć ustąpiła.

- Tak - powiedziała.

Przez chwilę jedli w milczeniu, po czym Carrington znów zaskoczył ją pytaniem:

- Ile miałaś lat, kiedy trafiłaś do domu dziecka?

- Nie wiem dokładnie. Podobno siedem lub osiem.

- Pamiętasz swoich rodziców?

- Nie. Niczego nie pamiętam.

- Jak to? Dlaczego?

- Wolałabym o tym nie mówić - wykrztusiła, blednąc.

- Tak jak i o swojej bliźnie? Jaki ona ma związek z tamtymi wydarzeniami? - Robert wpatrywał się w nią uważnie. - Proszę... - Sięgnął przez stół, aby ująć jej dłoń. - Jestem pewien, że musiałaś przeżyć coś strasznego. Lepiej wydobyć to na powierzchnię, niż skrywać głęboko i gubić się w domysłach.

Milczała.

- Spróbuj opowiedzieć, co zapamiętałaś - poprosił, uwalniając jej rękę i częstując ją musem truskawkowym.

- Pamiętam, że obudziłam się w szpitalu, nie mając pojęcia, kim jestem i skąd się tam wzięłam - zaczęła z wysiłkiem. - Kiedy przyszłam trochę do siebie, przepływała mnie jakaś policjantka. Zadawała mi mnó-

stwo pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć. Od niej dowiedziałam się, że znaleziono mnie nieprzytomną z krwawiącą raną na głowie, nieopodal spalonego samochodu. Kiedy spytałam, dlaczego nic nie pamiętam, powiedziała, że mam amnezję powypadkową i jest nadzieja, że z czasem pamięć mi wróci. Moja fotografia ukazała się w gazetach, więc liczono, że zgłosi się ktoś, kto mnie rozpozna. Nikt się jednak nie odezwał. Pielęgniarka powiedziała mi później, że raz, kiedy spałam, przyszła jakaś młoda kobieta, ale popatrzyła na mnie tylko i zaraz sobie poszła, twierdząc, że nastąpiła pomyłka.

Twarz Carringtona nagle stężała. Ella, uniesiona falą wspomnień, ciągnęła dalej, nie zauważywszy jego reakcji.

- Po kilku tygodniach rana na głowie zagoiła się, ale niczego nie mogłam sobie przypomnieć. Ponieważ nadal nikt się po mnie nie zgłaszał, oddano mnie do przytułku. „Jaka szkoda, że dziecko ma taką brzydką bliznę” - powiedziała na mój widok kierowniczką Sunnyside. Te słowa wryły mi się na zawsze w pamięć. Musieli mi nadać jakieś imię, więc zostałam Eleanor Smith, na cześć jednej z założycielek sierocińca. Ustalono, że siódmy kwietnia, dzień mego przybycia do Sunnyside, będzie dniem moich urodzin.

Początkowo nikt nie chciał ze mną rozmawiać o wypadku ani odpowiadać na moje pytania. Ale ja nie przestawałam sobie ich zadawać i po nocach zaczęły mnie dręczyć koszmary. Śniło mi się, że zabłądziłam w ciemnościach i ściga mnie jakiś potwór.

Krzyczałam i rzucałam się na łożku, nie dając spać innym dzieciom. W końcu zdecydowano, że lepiej będzie, jeśli dowiem się prawdy. Wyjawiła mi ją ta sama policjantka, która przesłuchiwała mnie po wypadku. Wypadek zdarzył się w mroźną lutową noc na bocznej wiejskiej drodze. Auto najwidoczniej wpadło w poślizg, uderzyło w drzewo i stoczyło się, dachując, ze stromego wzgórza. W wypalonym wraku znaleziono zwłoki kobiety, która prowadziła wóz. Nie udało się jej zidentyfikować. Z początku policja nie mogła dojść, jak to się stało, że leżałam tak daleko od auta. Ponieważ jednak szczątki kobiety znaleziono nie za kierownicą, lecz na tylnym siedzeniu, stwierdzono, że musiała wyciągnąć mnie z wozu. Dopiero potem, kiedy do niego wróciła, zapewne po koc albo apteczkę, eksplodował zbiornik z paliwem. Niestety, wyjaśnienia nie przywróciły mi pamięci. Zmieniły się tylko senne koszmary. Teraz widziałam w nich płonące samochody i zwęglone trupy. Na szczęście z czasem przestały mnie prześladować.

- Moje biedactwo... - powiedział Carrington, znów ujmując dłoń Ełli. Opowiadała jak w transie, patrząc gdzieś w dal ponad jego głowę.

- Po pewnym czasie postarano się o przybranych rodziców. Nowa matka "była dla mnie miła, ale kiedy usłyszałam, jak mówi: „Nie miałabym nic przeciw temu dziecku, gdyby tylko coś zrobili z tą jej okropną blizną", uciekłam z płaczem i schowałam się w parku. Gdy mnie odszukali, zrobiłam taką awanturę, że odesłano mnie z powrotem do Sunnyside. Czułam się nie-

szczęśliwa, odrzucona i niewarta czyjejkolwiek miłości z powodu mojej szpetoty.

- Każdy jest wart miłości - powiedział z mocą Robert. - A ja już ci mówiłem, że blizna wcale cię nie oszpeca.

- Zbladła nieco z upływem lat - przyznała.

- Nawet gdyby nie zbladła, nie zdołałaby cię oszpecić - zapewnił. - Twoja twarz, twoje oczy, usta były na pewno tak samo śliczne wtedy, jak i dzisiaj. Poza tym uroda w dużej mierze jest kwestią wnętrza człowieka, jego charakteru, a nie tylko wyglądu.

- Zrozum, ja nie miałam żadnego wnętrza! Nie pamiętałam, kim byłam, czułam się rozpaczliwie niekompletna - a ta część osobowości, która mi pozostała, była tak wyzuta z treści, że aż przezroczysta. Po prostu niezauważalna. Długo, bardzo długo trwało, zanim pustka zaczęła się wypełniać nowymi treściami.

- Czym ją wypełniałaś?

- Głównie książkami.

- A nie kontaktami z innymi dziećmi?

- Nigdy się z nimi nie kolegowałam, nie nawiązałam żadnych przyjaźni. Byłam jak duch, który stoi z boku i przygląda się, lecz nie może się przyłączyć do zabawy, bo inni przenikają przez niego jak przez powietrze.

- Znałaś Bersona - mruknął.

- Właściwie nie. - Ella smętnie pokręciła głową. - Adorowałam go z oddalenia. Kiedy odszedł z Sunnyside, byłam zdruzgotana.

- Co robiłaś potem?

- Zaczęłam snuć plany na przyszłość. Chciałam się

usamodzielić, pracować na własny rachunek. Nigdy nie przypuszczałam, że Dave wejdzie ze mną w spółkę i poprosi mnie o rękę.

- A więc naprawdę go kochasz?

- Oczywiście. I mam nadzieję, że głupstwo, popełnione tej nocy, nie zrujnuje naszego związku.

Robert przygryzł wargi.

- Eleanor, możesz mi wierzyć - powiedział z westchnieniem - owo „głupstwo”, jak się wyraziłaś, nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

To zapewnienie niespodziewanie ją uspokoiło.

Jeżeli Dave szczerze ją kocha, powinien przebaczyć, aby nie przekreślić ich wspólnej przyszłości.

Dalszą rozmowę przerwało pojawienie się pani Tompkins z kawą na tacy.

- Nie chciałabym państwa ponaglać - powiedziała - ale dziś po południu mam wychodne. Jadę do siostry w Claybourne.

- Już skończyliśmy, pani Tompkins - zapewnił z uśmiechem Robert. - A może podrzucić panią do siostry? Będziemy zaraz jechali w tamtą stronę.

- Nie, dziękuję. Mąż mnie zawiezie, jak tylko sprzątnę po obiedzie i zmyję naczynia.

- Doskonale. Może pani poprosić męża, aby przedtem wyprowadził kabriolet?

- Tak jest, panie Robercie. Zaraz mu przekażę. - Uśmiechnęła się do nich promiennie i odeszła.

Zaledwie drzwi tarasu zamknęły się za gospodynią, lord popatrzył na swoją towarzyszkę rozmarzonym wzrokiem.

- Skoro nie muszę odwozić pani Tompkins, może pozwolimy sobie na małe co nieco przed wyjazdem?
- zapytał, podnosząc się zza stołu i stając niebezpiecznie blisko przy krześle Elli.

Poczuła, że zasycha jej w gardle, lecz odparła lekko:

- Jestem pewna, że nie możesz sobie pozwolić na dalsze uszczuplanie energii. Jeszcze niedawno mówiłeś o swoim podeszłym wieku - zachichotała. - A poza tym obiecałeś zawieźć mnie do Cromford Edge. Myślałam, że dżentelmeni, a zwłaszcza wielcy lordowie, zawsze dotrzymują słowa.

- Dobrze już, dobrze, poddaję się. - Robert komicznie zamachał rękami. - Proponowałem ci kierunek Raj, ale skoro wolisz Cromford Edge, trudno. Niebo może poczekać. Chyba że jednak zmienisz zdanie?

Pamiętając aż nadto dobrze, jak fatalnie postąpiła wczoraj, nie miała zamiaru powtarzać tych samych błędów. A jednak przez ułamek sekundy korciło ją, by zapomnieć o zdrowym rozsądku i poddać się temu węzowemu kuszeniu, wybierając Raj.

- Jedziemy do Cromford Edge - oświadczyła twarodo, wstając. - Proszę o to, Robercie!

- Jak sobie szanowna pani życzy - westchnął. - Bierzesz jakieś okrycie? Płaszcz, sweterek?

- Nie. Chyba nasza wycieczka nie potrwa długo? Mała przejażdżka i herbatka w gospodzie. Wiesz, bo jeśli Dave wróci i nie zastanie mnie...

- Niemożliwe - uciął.

- Skąd ta pewność? - zdziwiła się.

- Obiecuję, że wrócimy przed Bensonem - powie-

dział wymijająco. - Gotowa? - zapytał, biorąc ją za rękę.

- Tak - odpowiedziała, udęczona rozdźwiękiem pomiędzy ekscytacją a dokuczliwym przekonaniem, że czyni coś absolutnie niewłaściwego.

- No, to w drogę. - Swobodnym gestem zarzucił na ramię marynarkę i poprowadził swoją towarzyszkę na frontowy podjazd, gdzie czekał elegancki biały kabriolet z odsuniętym dachem.

Robert otworzył przed nią drzwi, po czym usiadł za kierownicą i przechylił się, żeby przypiąć swoją pasażerkę pasem bezpieczeństwa.

Wystarczyło, że ją dotknął barkiem, a już przeszły ją ciarki. Obiecała sobie, że będzie chłodna i opanowana, ale okazało się, że nie przyjdzie jej to łatwo.

Jackson otworzył im bramę i zasalutował, a Robert mu pomachał.

Wkrótce białe auto cicho sunęło wiejskimi drogami, wzdłuż szpaleru dębów i kasztanowców, mijając błyszczące jaskrami pastwiska, stawy i strumienie. Fęd rozwiewał Elli włosy; uśmiechnięta podawała twarz słońcu.

Od niepamiętnych czasów nie czuła się tak swobodna i szczęśliwa. Tego euforycznego stanu nie mogła nawet przyćmić świadomość, że w głównej mierze zawdzięcza go siedzącemu obok, niebezpiecznemu mężczyźnie.

Carrington spojrział na nią z ukosa, uruchomił kasetę i za chwilę rozległo się adagio ze „Spartakusa”. Zmysłowe dźwięki muzyki przyniosły z sobą wspomnienia ostatniej nocy, które wciąż napływały ku niej

gorącą falą, grożąc, zburzeniem ładu osiągniętego z takim trudem. Koniec taśmy powitała nieomal z ulgą.

Po paru minutach piełi się już ku wzniesieniu, na którym położone było Cromford Edge. Przy punkcie widokowym stało wiele samochodów i wszędzie kręcili się ludzie. Ella zdziwiła się, że wybór Roberta padł na tak mało ustronne miejsce.

Carrington zaparkował, wysiedli z auta i przez chwilę, stojąc nad krawędzią urwiska, podziwiali rozległą panoramę okolicy.

Odległa zaledwie o kilkaset metrów gospoda Cromford Arms mieściła się w długim budynku z pruskiego muru, oplecionym festonami pnących róż. Wnętrze urządzone luksusowo i można było się domyślić, że ceny stanowią barierę dla zwykłego śmiertelnika. Pannów obowiązywały tu marynarki, a przy wejściu do salonu herbacianego czuwał kelner w białej kurtce, który dostojnie poprowadził ich do niskiego stolika przy kominku przystrojonym kwiatami.

Zaledwie zdążyli usiąść, do sali weszła piękna, świetnie ubrana dama o czarnych włosach, upiętych w gładki kok. Zbywając kelnera ruchem dłoni, ruszyła prosto w ich stronę.

Kiedy podeszła bliżej, Carrington powstał z miejsca.

- Dzień dobry, lady Allenby. Miło panią widzieć - powiedział z ukłonem. - Przedstawiam pani pannę Smith. Droga Eleanor, poznaj lady Sarę Allenby, żonę sir Johna Allenby'ego, prezesa Korporacji Allenby.

W zgodzie z nakazem mody lady była anorektycznie szczupła, a jej makijaż mógł uchodzić za dzieło

sztuki. W uszach miała brylantowe kolczyki i taką broszkę wpiętą w jedwabny żakiet - oba klejnoty warte majątek. Albo też obnosiła publicznie znakomite kopie, trzymając prawdziwe ozdoby w sejfie.

Eleanor od razu poczuła się wybitnie nie na miejscu w swojej zwyczajnej bawełnianej sukience, w sandałkach, z włosami, które dawno nie widziały fryzjera.

- Zechce się pani do nas przysiąść, lady Allenby?
- spytał Robert.

- Owszem, dziękuję - odpowiedziała niskim, nieco szorstkim głosem.

Zjawił się kelner, dźwigając wytworne, oprawne w skórę jadłospisy.

- Oprócz zwykłego zestawu kanapek i ciast mamy świeżutki pasztet z wędzonego łososia, miejscowe truskawki i wyborne duńskie ciasteczka - poinformował.

- Proszę tylko o herbatę - odezwała się lady Allenby. - Earl grey.

- Eleanor? - Robert spojrzał pytająco na swoją towarzyszkę.

Miała ochotę na kawę, ale nie było jej w menu, więc nie chcąc profanować uświęconego rytuału, także poprosiła o herbatę.

- Eleanor chwilowo zamieszkuje w Greyladies - zakomunikował Carrington tonem towarzyskiej pogawędki.

- Jak pani znajduje posiadłość? - spytała czarnowłosa lady.

- To absolutnie fantastyczne miejsce! - powiedziała Ella z nieskrywanym entuzjazmem.

Lady Allenby otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz zamknęła je zaraz i zapadła długa, niezręczna cisza.

Przerwał ją Robert.

- A jak się miewa sir John? - zapytał uprzejmie.

- Już dobrze. Lekarze mówią, że atak serca nie był groźny i należy go raczej potraktować jako sygnał ostrzegawczy.

- Doszły mnie pogłoski, że małżonek wybiera się na emeryturę.

- Przez moment snuł takie plany, lecz mam nadzieję, że nie zrobi tego. Ma w sobie nadal mnóstwo wigoru. Nie wyobrażam sobie, co by robił z wolnym czasem. Tym bardziej że upiera się przy mieszkaniu na wsi.

Eleanor zdziwiła się. Sara Allenby chyba dopiero co przekroczyła czterdziestkę, może była nawet młodszą, a zatem, skoro jej mąż rozważał przejście na emeryturę, musiała być między nimi spora różnica wieku.

Kobieta robiła wrażenie skrupowanej, mówiła nieskładnie, z widocznym roztargnieniem, popatrując raz po raz na Ellę.

- Jak długo pozostanie pani w Greyladies? - zagadnęła.

- Dokładnie nie wiem. Tydzień, może dwa. Wszystko zależy od... - Eleanor umilkła, gdyż nadszedł kelner, niosąc na srebrnej tacy imbryk i filiżanki z chińskiej porcelany. Ustawił ostrożnie dzbanek przed lady Allenby i odszedł cicho jak duch.

Lady ujęła rączkę imbryka, lecz dłoń jej tak drżała, że odstawiła go z hałasem na stół.

- Pozwoli pani sobie nalać? - zaproponowała Eleanor.

- Proszę bardzo - odparła kobieta z wyraźną ulgą.

Kiedy już wszyscy mieli napełnione filiżanki, lady Allenby odezwała się sztywno:

- Rozumiem, że na stałe mieszka pani w Londynie, panno Smith.

- Tak - odpowiedziała Ella, zastanawiając się, skąd zupełnie obca osoba może o tym wiedzieć.

- W Grey Ladies musi być bardzo cicho i spokojnie. Nie brak pani wielkowiejskiego gwaru?

- Nie. Ani trochę.

- Ale lubi pani Londyn?

- O, tak, pod pewnymi względami jest cudowny. Jednak korki oraz tłok w autobusach i w metrze stają się coraz bardziej uciążliwe, a mieszkania są drogie i ciasne.

- Ja na to nie zważam. Zawsze twierdzę, że Londyn mimo przeludnienia jest dużo przyjemniejszy i bardziej ucywilizowany niż wieś.

- Zdaje się, że ma pani ładnie położoną rezydencję? - wtrącił Robert.

- Owszem. Z Allenby House jest widok na Hyde Park.

- I rollsa z szoferem?

- Tak. Thornton świetnie prowadzi.

- W takim razie nic dziwnego, że londyńskie

niewygody nie dają się pani we znaki. Gdyby mieszkała pani w ciasnej kawalerce w jakiejś uboższej dzielnicy i musiała walczyć o miejsce w autobusie, miasto byłoby w pani oczach mniej przyjemne i cywilizowane.

Aczkolwiek powiedział te słowa tonem miłym, z lekka tylko żartobliwym, Eleanór zauważyła skrywane zmieszanie lady Alfenby.

- Mój narzeczony uwielbia Londyn - rzuciła popiesznie. - Nie mógłby mieszkać gdzie indziej.

- Szkoda, że mój John nie myśli podobnie. Miło było z państwem porozmawiać, ale muszę już iść - oświadczyła dama, podnosząc się nagle. - Mąż lubi, żebym była w domu, kiedy wraca z pracy. Do widzenia - powiedziała, biorąc torebkę, po czym odwróciła się i odeszła w pośpiechu, zostawiając nietkniętą filiżankę.

- Wystygła ci herbata - zauważył Robert. - Napijesz się świeżej?

- Nie, dziękuję. Zwykle nie pijam herbaty. W sierpocińcu dawali nam taką lurę, że mi obrzydła na zawsze. Wolę kawę.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Nie śmiałam.

- To nie zbrodnia. Ja też wolę kawę. Zamówić?

- Nie, nie - zaprotestowała. - Nie fatyguj się.

- To żadna fatyga.

- Myślałam, że nie wypada zamawiać kawy w porze, gdy się pija herbatę.

- Okażemy się profanami i zafundujemy obsłudze mały szok.

Skinąwszy na kelnera, poprosił o dzbanek kawy na dwie osoby.

- Kawy, proszę pana? - zdziwił się uprzejmie kelner.

- Tak, nie przesłyszał się pan - potwierdził lord.

Obsługujący, wyraźnie zdegustowany, przyjął zamówienie i oddalił się.

- No i jakie wrażenie zrobiła na tobie Sara Allenby? - spytał Robert.

- Sama nie wiem. Mocno znerwicowana.

- Spodobała ci się?

- Zrobiło mi się jej żal.

- Żal? - powtórzył zaskoczony.

Eleanor pokraśniała.

- Wiem, że jest impertynencją z mojej strony współczuć osobie, która może zapewne mieć wszystko, czego zapragnie, ale po prostu nie wydała mi się szczęśliwa.

- Ja również wątpię w jej szczęście - przyznał. - Sir John ma od dawna utrwaloną opinię człowieka niezwykle trudnego. Lubi rządzić żelazną ręką nie tylko swoim imperium finansowym, ale i domem. Na dodatek jest od niej ponad dwadzieścia lat starszy.

- Cóż, jeśli się kochali...

- Jestem pewien, że miłość nie wchodziła w rachubę. Przynajmniej jeśli chodzi o Sarę.

- Może nie wiedziała przed ślubem, jaki on jest, a potem już było za późno.

- Owszem, sama mi kiedyś wyznała, że dokładnie zdawała sobie sprawę, jakim bezwzględny egoistą

i dyktatorem jest Allenby. Było powszechnie wiadomo, że tyranizował pierwszą żonę.

- Skoro o tym wiedziała, czemu za niego wyszła?
- Nie muszę przypuszczać. Mówiła mi, co nią kierowało.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- To historia stara jak świat - zaczął. - Poślubiła starego Allenby'ego dla pieniędzy, bo było wiadomo, że potrafi być hojny, jeśli ktoś jest mu posłuszny. A także dla jego elitarniej pozycji oraz tytułu. Być może nawet na swój sposób kochał Sarę, ale najprawdopodobniej ożenił się z nią dla jej urody, młodości i dlatego, że rozpaczliwie pragnął mieć dziedzica, którego nie dała mu poprzednia żona... - urwał, gdyż kelner przyniósł tacę z kawą i postawiwszy ją przed nimi tak, jakby brukała mu ręce, odszedł bez słowa.

- Coś mi się zdaje, że zostaliśmy umieszczeni na tutejszej czarnej liście - zachichotał Robert. - Angielska tradycja popołudniowej herbatki trzyma się mocno.

Ella była tego samego zdania. Z niepokojem stwierdziła, że podejrzanie dobrze czuła się w towarzystwie tego dżentelmena, który również mógłby mieć rezydencję przy Hyde Parku i rolls royce'a z szoferem.

- Czy mają dzieci? - zapytała. Historia lady Allenby coraz bardziej ją interesowała.

- Nie. Po szesnastu latach małżeństwa są nadal bezdzietni i nie zanoszą się na to, aby sir John doczekał się upragnionego potomka.

- W każdym razie ich małżeństwo przetrwało.

- Ledwie, ledwie. Lady Allenby wyznała mi, że kilka lat temu miała już tak dość oskarżania jej o fiasko macierzyństwa, że zaproponowała mu bezkonfliktowy rozwód na zasadzie godziwej rekompensaty. Jednak nie chciał o tym słyszeć. Nie zwykł wypuszczać z ręki niczego, co uważa za swoją własność, a poza tym paranoicznie lęka się choćby cienia skandalu.

- Skoro jest aż tak nieszczęśliwa, czemu go po prostu nie opuści?

- Sir John zapewne domyślał się, dlaczego Sara za niego wychodzi, i zażądał spisania przedślubnej intercyzy, z której wynika, że w razie rozwodu lub porzucenia męża traci prawo do jego majątku.

Podczas gdy Carrington dolewał jej kawy, Eleanor zastanawiała się nad osobliwym charakterem jego stosunków z lady Allenby. Jego zachowanie wobec niej, nacechowane chłodną rezerwą, nie dało się żadną miarą określić jako przyjacielskie. A jednak opowiadała mu o sprawach, w jakie nie wtajemnicza się zwykłego znajomego.

- Znasz ich pewnie oboje bardzo dobrze? - zagadnęła.

- Nie. Sir Johna znam od lat, ale pobieżnie. Ze-
tknęliśmy się parokrotnie w interesach. Natomiast lady Allenby poznałem niedawno.

Carrington zauważył zdziwienie Elli.

- Spotkaliśmy się w sytuacji dość szczególnej i wątpię, czy byłaby taka wylewna, gdyby nie wypięła za wiele. Jak mówi łacińskie przysłowie, *in vino veritas*, w winie jest prawda.

Eleanor poczuła niesmak. Robert, dżentelmen w każdym calu, powtarza jej - prawie obcej osobie - wynurzenia lady Allenby. Nie, to stanowczo do niego nie pasowało!

Jak zwykle nie doceniła przenikliwości Carringtona, który nie po raz pierwszy zdawał się czytać w jej myślach.

- Naturalnie w innych okolicznościach zachowałbym dla siebie te zwierzenia - dorzucił. - Ba, mógłbym nawet okazać jej odrobinę współczucia...

- Ale nie zrobiłeś tego.

- Nie. Gdyby stać mnie było na jakiegokolwiek współczucie, zasługiwałby na nie sir John, nie ona.

- On? Przecież sam odmalowałeś go jako mało sympatyczną postać!

- I podtrzymuję swoją ocenę. Co nie zmienia faktu, że należy współczuć każdemu, kto jest poślubiany dla pieniędzy. A już zwłaszcza, kiedy kocha osobę, którą poślubia - choć sir Johna raczej o to nie posądzam.

Eleanor, domyślając się instynktownie, że przez Roberta przemawia osobiste doświadczenie, wypaliła:

- A w twoim wypadku tak było?

- Tak. Kochałem Zoe.

- Nie wiedziałam, że byłeś żonaty.

- Nie byłem, lecz niewiele brakowało. Wszystko było już gotowe do ślubu i nagle rozsypało się jak domek z kart. Ale to stare dzieje. - Z westchnieniem machnął ręką.

Zastanawiając się, jak bardzo stare, zatrzymała wzrok na oszklonym zegarze, ustawionym na gzymsie

kominka. Wskazywał za dziesięć piątą. O, Boże! Dave na pewno już wrócił i będzie wściekły, stwierdziwszy, że jej nie ma.

- Patrz, która godzina! - wykrzyknęła. - Czy nie powinniśmy już wracać?

- Nie ma pośpiechu - zbagatelizował. - Nie skończyłaś kawy.

- Już nie mam ochoty, dziękuję. - Nerwowym gestem odsunęła filiżankę. - Obiecałeś, że się nie spóźnimy.

- Obiecałem, że będziemy w domu przed Benso-nem - poprawił ją.

- No właśnie, dochodzi piąta. Dave z pewnością już wrócił.

- Mówiąc ogólnie, to mało prawdopodobne. Założę się o kopniaki przeciwko całusom, że nadal go nie będzie.

- Zanim dojedziemy, zrobi się jeszcze później.

Robert, widząc narastający niepokój Elli, skinał na kelnera.

- Dobrze, skoro tak ci na tym zależy, zaraz ruszamy - powiedział z rezygnacją. - Jeśli sobie życzysz, pojedę krótszą trasą.

Kiedy biały kabriolet zajechał do Greyladies i zatrzymał się przed garażami, dobiegała szósta. Furgonetki Dave'a nie było.

- Wygląda na to, że wygrałem zakład - stwierdził Robert z satysfakcją, pomagając Elli wysiąść. - Możesz być pewna, że wyegzekwuję wygraną.

Zanim zdobyła się na sprzeciw, nachylił się i do-

tknął wargami jej ust. Mogła z łatwością wysunąć się z jego objęć, lecz nie zrobiła tego. Stała jak wmurowana, pozwalając mu się całować.

Serce waliło jak młotem, żołądek się skurczył, a kiedy Carrington ją przytulił i przylgnęli do siebie, zwiotczała w jego ramionach, wciągana nieodparcie w wir rozkosznego zapomnienia.

Odgłos samochodu, nadjeżdżającego od strony bramy, przywrócił ją do rzeczywistości.

Zmieszana, odskoczyła od Roberta, lecz na podjeździe, zamiast spodziewanej furgonetki, pojawił się niebieski sedan kierowany przez młodego człowieka. Wóz zatrzymał się i wysiadła z niego pani Tompkins.

- Przepraszam za spóźnienie - sumitowała się - ale mój siostrzeniec wrócił później z pracy i jeszcze po drodze brał benzynę.

- Nic nie szkodzi - uspokoił ją Robert. - My też niedawno wróciliśmy.

Zaczęli rozmawiać o kolacji, ale Eleanor już nie słuchała. Pobiegła do swego pokoju.

Osunąwszy się na kanapę, czerwona ze wstydu, przeklinała własną słabość i głupotę.

Skoro nie potrafi nad sobą zapanować, może lepiej będzie wyznać Dave'owi prawdę i zaproponować natychmiastowy wyjazd z Greyladies?

Tylko co zrobią, jeśli Robert zażąda od razu zwrotu zaliczki? Ma do tego prawo.

Westchnęła, zacisnąwszy bezsilnie pięści. Błędne koło.

Po co się wplątała w tę aferę? Trudno, stało się i nie

ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Teraz pozostało jej tylko odprawić gorzkie żale i nie wystawiać więcej swojej słabej woli na pokuszenie.

Jutro powinno być łatwiej. Benson przywiezie sprzęt, zajmą się robotą i nie będzie czasu ani sposobności do podchodów z piekielnym lordem.

Dobrze, ale gdzie się podziewa Dave? Powinien już dawno przyjechać!

Dopiero kiedy wzięła prysznic, umyła włosy, wysuszyła je, przebrała się i umalowała, przysłała jej do głowy najoczywistsza przyczyna nieobecności narzeczonego.

Na pewno wyjechał późno, po załatwieniu wszystkich spraw, a więc w godzinach szczytu. O tej porze wydostanie się z Londynu jest prawdziwą mordęgą i nie należy się go spodziewać wcześniej niż przed kolacją.

W nieco lepszym nastroju zeszła na taras i zobaczyła Jessie, która przywędrowała z ogrodu, trzymając w pyszczku żywą jeszcze myszkę.

Ella, chcąc ocalić zwierzątko, przywołała kotkę, która posłusznie przysła i podrapana za uszami, wypuściła swój łup. Mysz, zbyt przerażona, by uciekać, znieruchomiała skulona. Nie wydawała się poraniona, więc Ella wzięła ją delikatnie w dłonie i poszła w głąb ogrodu.

Wybrała trawnik przy gęsto porośniętym klombie i wypuściła zwierzątko na ziemię. Po sekundzie myszka dała nurka w gąszcz i znikła jej z oczu.

Eleanor wróciła na taras i usiadła na kanapce, obok

mruczącej Jessie. Po chwili nadszedł Tompkins, tocząc wózek z napitkami.

- Dobry wieczór, panienko - powiedział z powagą.
- Dobry wieczór, panie Tompkins.

- Pan polecił mi przeprosić panienkę, że się trochę spóźni. Wkrótce przyjdzie. Czy mogę podać drinka?

- Nie, dziękuję. Zaczekam na obu panów. Czy pan Benson już wrócił?

- O ile mi wiadomo, nie.

- Nie było od niego żadnej wiadomości?

- Nie, proszę panienki. Ośmielę się wzmiankować, że w dzbanku znajduje się świeżo przyrządzony kruszon.

- To brzmi zachęcająco - powiedziała, chcąc mu zrobić przyjemność. - Może jednak się skuszę.

Napełnił szklanekę i przestrzegając ceremoniału, podał ją Elli na srebrnej tacy, po czym skłonił głowę i odszedł.

Wbrew oczekiwaniom, pierwszy na kolację zszedł nie Dave, lecz Robert, przebrany w sportowe spodnie i białą płócienną koszulę.

- Przepraszam za spóźnienie, ale miałem ważny telefon. Tompkins poczęstował cię drinkiem?

- Tak.

Patrząc na wyrazistą twarz Roberta, po raz kolejny nie mogła pojąć, czemu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, uznała, że nie jest przystojny. Teraz wydawał się jej urodziwszy od wszystkich mężczyzn, jakich w życiu spotkała. Oczywiście z wyjątkiem Dave'a, uzupełniła wstydliwie.

- Dolać ci?

- Nie, dziękuję; -

Napełniwszy swoją szklanekę, usiadł obok Ełli i nic nie mówiąc, patrzył przed siebie ze zmarszczonymi brwiami. Było to do niego bardzo niepodobne. Zastanawiała się, czy ów nagły telefon nie wytrącił go z równowagi.

- Niestety, Dave jeszcze nie wrócił - odezwała się.

- Pewnie utknął w korkach.

- Jest już wpół do ósmej - stwierdził cierpko. - Nawet jeśli wyjechał z miasta w godzinie szczytu, do tej pory powinien już tu być. O ile w ogóle miał zamiar wracać.

- Jasne, że tak. Jak mogłoby być inaczej? - obruszyła się. Zagryzła wargi, kiedy spostrzegła, że Robert, choć z pozoru spokojny, w istocie jest wściekły.

Przedłużające się milczenie przerwało wejście Tompkinsa.

- Przepraszam, że niepokoję - oznajmił - ale przyjechała jakaś pani i nalega na zobaczenie się z panem.

- Kto to jest? - warknął Carrington. - O co jej chodzi?

- Niestety, nie wiem. Odmówiła podania nazwiska i nie chciała powiedzieć, jaką ma sprawę. Zapewniła tylko, że nie jest z prasy.

- Przepraszam - powiedział Robert. - Pójdę zobaczyć, kto to taki.

Eleanor pomyślała o tajemniczej lady Allenby, ale po chwili Robert zjawił się na tarasie w towarzystwie smukłej blondynki.

Miała około trzydziestu lat i była tylko o kilka centymetrów niższa od Carringtona. Bezsprzecznie atrakcyjna, wyróżniała się znakomitą figurą.

W pierwszej chwili sprawiała wrażenie zaskoczonej obecnością Eleanor, ale po krytycznym zlustrowaniu jej wyglądu i ubioru, doszła zapewne do wniosku, że nie ma do czynienia z konkurencją, i odprężyła się.

- Eleanor - odezwał się Robert z kamiennym wyrazem twarzy. - Poznaj pannę Hamlin. Zoe, przedstawiam ci pannę Smith.

Zoe... Ella poczuła skurcz w sercu. A więc ma przed sobą kobietę, którą Robert kochał, a może i nadal kocha! Dziwnym zbiegiem okoliczności wspomniał o niej dziś po południu.

- Proszę, siadaj - zwrócił się do blondynki, a kiedy z kocią gracją opadła na fotel, dodał: - Czego się napijesz?

- Poproszę o dżin z tonikiem.

- Lód i cytryna?

- Kochanie, czyżbyś zapomniał? - z pretensją wydęła usta. - To było tak niedawno!

- Przeciwnie - odparł chłodno. - Rok to dużo czasu.

A więc sprawa jest całkiem świeża, skonstatowała Eleanor z niezdrowym zaciekawieniem.

- Nazbyt dużo - uśmiechnęła się Zoe, trzepocząc sztucznymi rzęsami.

- Co robisz w tych stronach? - spytał, wręczając jej szklanę.

- Urządzałam salon w Meddlecome Hall.

- Zoe jest projektantką wnętrz - wyjaśnił na użytek Elli.

- Nigdy cię nie mogę zastać w Londynie - ciągnęła - więc będąc w pobliżu Greyladies, postanowiłam zajrzeć tu w drodze powrotnej w nadziei, że cię zobaczę.

- Masz do mnie jakąś sprawę? - zagadnął z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

Jeśli nawet Zoe była zakłopotana wyraźną obojętnością z jego strony, doskonale potrafiła maskować swoje uczucia.

- Po prostu chciałam ci się przypomnieć w imię starej znajomości - stwierdziła, wzruszając ramionami.

- Rozumiem. Tylko czemu nie podałaś Tompkinsowi nazwiska? - spytał tonem, w którym pulsowała tłumiona agresja.

- Wiesz, dość trudno mi się z tobą rozmawia w obecności osób postronnych... - obrzuciła Eleanor szybkim, niechętnym spojrzeniem.

- Pójdę zobaczyć, czy Dave wrócił - powiedziała Ella, wstając z miejsca.

- Zostań. - Robert nakazującym gestem położył jej dłoń na ramieniu. - Eleanor wie, co nas łączyło - zwrócił się do Zoe - i możesz się nią nie krępować. Pytałem cię, czemu nie chciałaś podać swego nazwiska.

- Wiem, że potrafisz być porywczy - odpowiedziała smutno, na ułamek sekundy zrzucając maskę towarzyskiej swobody, aby zaraz przywdziać ją z powrotem. - Obawiałam się, iż jeśli dowiesz się, że to ja, nie zechcesz mnie widzieć.

- Ciekawe, co cię mogło skłonić do takiego przypuszczenia?

- I postanowiłam ci zrobić niespodziankę - odparła wesoło, udając, że nie słyszy sarkastycznej uwagi.

- Przyznaję, że ci się udało. Wcześniej nigdy nie chciałaś pojechać ze mną do Greyladies, gdy odwiedzałem dziadka.

- Kochanie, przecież wiesz, że jestem mieszczuchem i nie cierpię wsi. Jeżdżę tam tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne ze względu na pracę. Proszę, nie dąsaj się - powiedziała przymilnie. - Wiem, że zawiniłam wobec ciebie. Od dawna chciałam ci powiedzieć, jak bardzo żałuję swojego głupiego wyskoku.

- Długo trwało, zanim postarałaś się o wyrzuty sumienia - burknął Robert z nieskrywaną ironią.

- Byłeś taki wściekły i rozżalony... Myślałam, że musi minąć wiele czasu, zanim będziemy mogli normalnie porozmawiać.

Widząc, że milczy, dodała miękko:

- Miałam nadzieję, że teraz zechcesz mi wybaczyć. Na twarzy Carringtona nie drgnął ani jeden mięsień.

- Lepiej powiedz mi, jak się miewa Simon? - zagadnął zdawkowo. - Podobno znów jesteście razem?

- Musieliśmy się rozstać. Widać zbyt mało przypominał ciębie.

- Może i dobrze się stało. Słyszałem, że wysłano go do jakiejś dziury na antypodach. Nie uśmiechałoby ci się takie wygnanie.

- Gdybyś wiedział, jak bardzo żałuję swojej głu-

poty, z pewnością byś mi przebaczył - powiedziała Zoe z powagą.

- Głupoty? - Robert uniósł brwi.

- O wiele za późno zrozumiałam, co do ciebie czułam - wyznała. Wpatrywała się w dawnego kochanka stęsknionym wzrokiem, zapominając o obecności innej kobiety. - I nadal to czuję.

- Co takiego?

- Przecież wiesz.

- Wiem tylko tyle, ile powiedziałaś Bridget.

- Popełniłam paskudny błąd, Robercie, i staram się go teraz naprawić. Nie przychodzi mi to łatwo, przecież nie jesteśmy sami. Może jak będziesz w Londynie, moglibyśmy razem coś zjeść i porozmawiać o tamtych sprawach?

Zaledwie wypowiedziała ostatnie słowo, wszedł Tompkins, oznajmiając, że kolacja jest gotowa.

- Miałabyś ochotę przyłączyć się do nas? - spytał uprzejmie Carrington.

- Och, z przyjemnością - Zoe uśmiechnęła się promiennie.

- W takim razie przyniosę nowe nakrycie - powiedział Tompkins.

- Nie trzeba. Panna Hamlin zajmie miejsce pana Bensaona.

- Oczywiście, proszę pana - skłonił się lokaj.

Eleanor niedostrzegalnie przygryzła wargę. Dave, tak jak przewidywał Robert, był wciąż nieobecny, więc nie miała prawa głosu.

Gdy wstali z foteli, Zoe w pierwszym odruchu za-

mierzała wziąć Roberta pod ramię, lecz usunął się i wskazał grzecznym gestem, aby poszła przodem. Sam pociągnął Eleanor za rękę, pocałował ją lekko w usta i wszyscy troje ruszyli do jadalni.

Ella była zła, ale nie chciała urządzać sceny. Nie miała najmniejszej ochoty pomagać Robertowi w pobudzaniu zazdrości Zoe i w myślach szukała gorączkowo pretekstu do ucieczki.

Nie znalazła go, więc usiadła do stołu po prawej stronie Roberta, a Zoe zajęła miejsce po lewej. Obie panie odzywały się niewiele i kolacja minęła w prawie zupełnym milczeniu. Kiedy wniesiono deskę z serami, Zoe, która nagle odzyskała rezon, zapytała żywo:

- Czy mieszka pani w tej okolicy, panno Smith?
- Nie. W Londynie.
- W takim razie, jeśli trzeba, mogę panią podrzucić z powrotem do miasta.
- Bardzo dziękuję, ale...
- Eleanor zostaje tutaj - wtrącił Robert.
- O, rozumiem. Jest pani na urlopie?
- Nie.
- Mogę zapytać, czym się pani zajmuje?
- Pomagam w instalowaniu komputerów i systemów sieciowych.
- Wielkie nieba! Nie przypuszczałam, że rozmawiam z kimś tak uczonym!
- O, to raczej za dużo powiedziane. Tak naprawdę fachowe czynności wykonuje Dave Benson. Jesteśmy współnikami.
- To znaczy, że przyjechała pani tutaj do pracy?

- Eleanor jest moim gościem - wtrącił Robert tonem nie znoszącym dyskusji.

- Czy Dave także?

- Pan Benson wrócił do Londynu - zakomunikował Carrington. Eleanor miała ochotę kopnąć go pod stołem.

- Ale położono dla niego nakrycie, więc chyba go oczekujesz?

- Nie, nie oczekuję.

Eleanor była zaszokowana niezachwianą pewnością w jego głosie. Nie, musi się mylić. Oczywiście, że Dave wróci. Nie zostałyby na drugą noc w Londynie, nie powiadamiając jej o tym.

- Czy długo planuje pani tu przebywać? - indagowała beczelnie Zoe.

Zanim Ella zdążyła odpowiedzieć, Robert ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Żywię nadzieję - oświadczył uroczyście - że od-tąd Greyladies stanie się dla Eleanor domem.

Wiedziała, że wykorzystuje ją do własnej rozgrywki z Zoe, lecz tym razem jego słowa zabrzmiały tak przekonywająco, że nie była w stanie dłużej znosić upokorzeń z jego strony.

Jak mógł powiedzieć coś takiego, wiedząc, że nigdy nie miała własnego domu? Jak mógł być tak okrutny?

Wstała raptownie i, odsunawszy krzesło, powiedziała ze spokojem, który zadziwił ją samą:

- Proszę wybaczyć, okropnie rozbolała mnie głowa.

Odwróciła się i pobiegła na górę.

Zamknawszy drzwi, opadła na kanapę i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, dławiona łkaniem.

Wiedziała, że nic nie znaczy dla Roberta Carringtona, a sposób, w jaki została przez niego potraktowana, boleśnie ją zranił. Chyba że opętany dążeniem wywołania zazdrości w jednej kobiecie, nie zdawał sobie sprawy, jak grubiańsko postąpił wobec innej?

Ale czemu miałyby mu zależeć na zazdrości Zoe? Było przecież jasne, że ekskochanka przybiegnie do niego na najmniejszy znak zachęty. Jeśli zaś ją nadal kocha, czemu po prostu jej o tym nie powie?

A może chciał dać Zoe nauczkę, zanim z powrotem ją przyjmie?

Jeśli tak, nie chce być wciągana w jego rozgrywki.

Łzy gniewu ciekły Elli po policzkach coraz obficie, spadając z podbródka na dłonie. Kiedy wyciągnęła chusteczkę i zaczęła je wycierać, spostrzegła, że nie ma na palcu zaręczynowego pierścionka.

Był trochę za luźny, ale traktowała go jak talizman i nie zdejmowała nigdy od czasu, gdy Dave wsunął go jej na palec.

A teraz zniknął.

Zerwała się na równe nogi, ogarnięta paniką. Gdzie, u licha, się podział?

Może zgubiła go w jadalni? W chwili, gdy ruszyła w pośpiechu do drzwi, rozległo się pukanie i w progu stanął Robert.

- Proszę, odejść - powiedziała błagalnie.

Spojrzał na jej podpuchnięte oczy, na zapłakaną twarz i bez słowa otoczył ją ramionami. Tego było już

dla Elli za wiele. Napięte nerwy nie wytrzymały i rozszlochała się na dobre.

Robert tulił ją, szepcząc czułe słówka, aż łkania stopniowo ucichły. Wreszcie, pociągając nosem, wysunęła się z jego objęć. Usłużnie podał jej chusteczkę.

- Zdenerwowałaś się, ale nie trzeba tak się przejmować - powiedział cicho.

- Właśnie, że trzeba - wykrztusiła, osuszając mokłą twarz.

- Przepraszam cię, Eleanor, nie miałem zamiaru...

- To nie ma nic wspólnego z tobą - przerwała mu gwałtownie, chroniąc swą zranioną dumę. - Zgubiłam pierścionelek.

- Co takiego?

- Mój zaręczynowy pierścionelek. - Pokazała mu pusty palec.

- O, cholera! Nie domyślasz się, gdzie mogłaś go zgubić?

- Niestety, nie. Może w jadalni?

- Ale nie miałaś już pierścionka, kiedy siedzieliśmy przed kolacją na tarasie. Zwróciłem na to uwagę, lecz pomyślałam, że go zdjęłaś.

- Nigdy go nie zdejmuję.

- Przypomnij sobie, kiedy ostatni raz widziałaś go na palcu.

- Hm... Tak do niego przywykłam, że go prostu nie zauważałam.

- Zastanów się spokojnie.

- Już wiem! Miałam go, kiedy czesałam się przed kolacją. Wczepił mi się we włosy.

A potem?

- Miałam go na pewno, gdy odebrałam Jessie myszkę.

- Jaką myszkę?

Opowiedziała mu o kocich łowach.

- Wypuściłam tę nieszczęsną mysz w ogrodzie, koło klombu - zakończyła. - No jasne, wtedy musiał mi się ześliznąć z palca! - wykrzyknęła z triumfem.

- Pamiętasz, gdzie to było?

- Mniej więcej.

- W takim razie chodźmy go poszukać. - Wzięła ją, za rękę i pobiegli do ogrodu.

- To chyba tu - powiedziała zdyszana Ella, wskazując na skupisko różowych malw pod murem ogrodu.

Ale obok klombu, w cieniu wyższych bylin, ostróżek i bławatków, rozciągał się obszerny dywan, utkany z barwinków i różnych płożących się roślin.

- Obawiam, że będzie to szukanie igły w stogu siana - powiedziała zniechęcona.

- Tak, posiałaś go w fatalnym miejscu. Ale nie załamujmy rąk. Do roboty!

Posuwając się na kolanach, przeczesywali palcami każdy centymetr powierzchni, rozsuwając liście i łodygi każdej roślinki.

Wreszcie musieli przerwać, bo zapadał zmierzch.

- Dajmy spokój, to bez sensu - odezwała się Eleanor, podnosząc się. - Nigdy go nie znajdziemy.

- Dzisiaj może już nie, ale nigdy nie trzeba mówić „nigdy” - powiedział Robert. Miał pobrudzone spodnie, zwichrzone włosy, policzek wysmarowany ziemią

i wyglądał tak chłopięco, że wzbudził w Elli niemal macierzyńskie uczucia.

- Głowa do góry! - rzucił wesoło. - Obiecuję, że twój skarb się znajdzie. A teraz chodźmy. Musimy się doprowadzić do ładu i napić czegoś przed snem.

Ruszyli razem do domu w gęstniejącym, liliowym zmierzchu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W holu wyszedł im naprzeciw Tompkins, zapytując, gdzie ma podać drinki - w domu czy na tarasie?

- Gdzie wolisz? - Robert zwrócił się do Elli.

- Dziękuję - pokręciła głową. - Pójdę do Dave'a, bo na pewno już jest i spodziewa się, że...

- Proszę wybaczyć, panienko, ale pan Benson nie przyjechał - odezwał się lokaj.

- Na pewno? - spytała załęknona.

- Tak, proszę panienki.

- Dziękuję, Tompkins - powiedział Carrington. - Nie kłopotcz się drinkami. Sam się tym zajmę.

- Tak jest, proszę pana - odrzekł sługa, odchodząc bezszelestnie.

Weszli oboje na górę. Kiedy Eleanor przystanąła przy swoich drzwiach, Robert powiedział:

- Kiedy będziesz gotowa, zajrzyj do mnie do saloniku. Muszę z tobą porozmawiać.

Serce Elli забиło nierówno. Jeśli chciał z nią mówić o Zoe, lepiej od razu wybije mu to z głowy.

- Naprawdę nie... - lecz nie dał jej skończyć.

- Jeśli nie będziesz za dziesięć minut, przyniosę cię na rękach - zagroził z udawaną surowością.

Wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Gdzie mógł się podziąć Dave? - myślała coraz bardziej nerwowo, biorąc prysznic. Włożyła świeżą bieliznę i lekką szmizjerkę. Miała zamiar upiąć włosy, ale czas minał i musiała się pospieszyć. Nie miała ochoty być wnoszona na rękach niby nieposłuszne dziecko, zostawiła więc włosy rozpuszczone. Tak poszła do apartamentu Roberta.

W saloniku powitał ją zapach kawy, a po chwili z sypialni wynurzył się sam gospodarz. Ku zaskoczeniu Eleanor miał na sobie krótki frotowy szlafrok.

- Nie było sensu znów się ubierać - wyjaśnił, rozbawiony jej spłoszoną miną. - Ale nie bój się, nie będę robił striptizu. Rozgość się.

Nie patrząc w jego stronę, usiadła na kanapie.

Robert nalał jej kawy i postawiwszy filiżankę na stoliczku, sięgnął po karafkę z brandy.

- Nie nalewaj mi, dziękuję - zaprotestowała.

- Wzmocnienie może ci się okazać potrzebne.

- A to niby dlaczego?

- Powiedzmy, że w celach leczniczych - odparł, siadając przy niej. - W ciągu minionej doby zaszły w tym domu różne wydarzenia - zaczął z powagą. - Jedno z nich zaliczam do wspianiałych, inne są mniej pomyślne.

Z tym akurat skłonna była się zgodzić.

Nie ma nic dobrego w przebudzeniu się w łóżku Carringtona ze świadomością zdradzenia narzeczonego. Do tego długa nieobecność Dave'a oraz zgubienie pierścionka.

Jednakże żadne z owych przykrych zdarzeń nie przygnębiło jej tak, jak nieoczekiwana wizyta Zoe.

Sposób, w jaki Robert posłużył się nią, by wzniecić zazdrość w dawnej kochance, sprawił Elli wielki ból - choć nie rościła sobie żadnych praw do niego.

A teraz spotęgował jeszcze udrękę, określając zjawienie się Zoe jako coś wspaniałego. Wzburzenie Elli doszło do niebezpiecznej granicy, czuła, że łzy napływają jej do oczu. Próbowwała rozpaczliwie je powstrzymać, ale niesforna kropla wymknęła się spod kontroli i potoczyła po policzku.

- Nie płacz - poprosił zduszonym głosem. - Proszę cię, nie płacz.

- Przepraszam, nie jestem beksą. Po prostu...

- Znajdziemy go, obiecuję - zapewnił, ocierając jej łzę opuszką kciuka.

A więc sądzi, że chodzi jej o pierścionek. Cóż, lepiej, żeby nie znał prawdy.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, polecę Jacksonowi oczyścić klomb do gruntu.

- Bardzo ważne - powiedziała przez łzy. - Nie bierz tego za dziecinny kaprys. Przez całe życie nikt mnie nie kochał. I kiedy Dave dał mi ten pierścionek, stał się dla mnie symbolem, promykiem nadziei na przyszłość. Dlatego zawsze go nosiłam...

Robert wstał raptownie, podszedł do okna i utkwiał wzrok w ogrodzie, pogrążającym się w mroku. Patrząc na jego barczystą sylwetkę, na długą linię pleców i kształtną głowę, Ella musiała przyznać, że jest bardzo męski. Nic dziwnego, że Zoe nie dawała za wygraną.

Zastanawiała się, o czym on tak długo myśli, gdy nagle odwrócił się i znów usiadł obok niej.

- Powiedziałem ci, że w czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin zdarzyło się wiele rzeczy, w tym również niedobrych. Nie wyjawiałem ci jednak najgorszego.

- Próbujesz mi powiedzieć - wyszeptała, blednąc - że Dave miał wypadek?

- Nie. Nie to próbuję ci przekazać.

- Ale coś mu się stało, inaczej dawno by już tu był. Może leży nieprzytomny w jakimś szpitalu. A może nawet...

- Oświadczam ci kategorycznie, że Benson jest cały i zdrow! - zniecierpliwiał się. - Uważam jednak, iż nadeszła pora, abyś poznała prawdę. On już tu nie wróci. Zniknął na dobre z twojego życia.

- Mylisz się! - wykrzyknęła. - Wróci. Musi wrócić! Widzisz, ostatni czek, jaki wysłałam do firmy dostawczej, nie miał pokrycia — tłumaczyła gorączkowo.

- Nie mieliśmy z czego płacić naszym dostawcom. Gdybyś nie dał nam zaliczki, popadlibyśmy w okropne tarapaty. Musimy skończyć pracę u ciebie - ciągnęła nerwowo. - Zresztą Dave wydał już część twoich pieniędzy. Jeśli zapłacił za sprzęt, który zamówił w Londynie, nie zostało mu więcej niż pięć tysięcy.

- Nic mu nie zostało.

- Jak to?

- W chwili gdy czek został sprawdzony, całe dziesięć tysięcy wypłacono gotówką.

- Nie rozumiem dlaczego... Nie potrzebowaliśmy tak dużo! Byliśmy winni firmie Greenlee tylko pięćset funtów i Dave powiedział, że da im czek. Nawet jeśli dał im gotówkę i zapłacił z góry za to, co kupił dzisiaj,

w sumie nie powinien wydać więcej niż połowę zaliczki.

- Nie zapłacił nikomu z góry - powiedział Robert.

- Może musiał to zrobić, bo stracili do niego zaufanie i nie zrealizowałyby zamówienia - upierała się.

- On nic nie zamówił, Eleanor.

- To po co pojechał do Londynu?

- Po to, żeby podjąć gotówkę i czmychnąć - stwierdził zimno. - Pobrał wszystkie pieniądze. Dlatego nawet jeśli wystawił dostawcom czek, jest on także bez pokrycia.

, - No, nie, to jakiś ponury żart! - prychnęła. - Nigdy go nie lubiłeś, lecz teraz robisz z niego kryminalistę.

- Prawdę mówiąc, jest nim.

- To nieprawda... niemożliwe! - Dopiero teraz zaczął docierać do niej prawdziwy sens słów Carringtona.

- Wierz mi, nie mówiłbym ci tego wszystkiego, gdybym nie miał absolutnej pewności.

- Skąd ją masz?

- Wynająłem prywatnego detektywa, który śledził Bensaona, a ponadto zadałem sobie trud pogrzebania w przeszłości twojego narzeczonego.

Ella siedziała nieruchomo jak ogłuszona, a Robert mówił dalej.

- Najpierw odkryłem, że był skazany za wyłudzenie i oszustwo. Wyszedł z więzienia na kilka dni przed waszym spotkaniem.

Ogarnęła ją szalona ulga. A jednak się pomylił!

- Nie, jesteś w błędzie, tu musi chodzić o kogoś

innego. Kiedy spotkałam Dave'a, studiował od dwóch lat. Za rok miał dostać dyplom.

- Benson nigdy nie uczęszczał do kolege'u - stwierdził Robert bezlitośnie.

- Ależ tak! Gdzie by mógł nauczyć się tyle o komputerach? On się na nich naprawdę zna, tego nie możesz zaprzeczyć.

- Nie przeczę, lecz uzyskał tę wiedzę w więzieniu, na specjalnym kursie resocjalizacyjnym. Był na tyle sprytny, że nie zmarnował szansy, i pod tym względem jest prawdziwym talentem. Umie wykorzystać do maksimum każdą sytuację i ludzi, których spotyka na swojej drodze. To urodzony naciągacz.

- Nie wierzę - powiedziała z naciskiem, choć dłonie zaczynały jej drżeć. - Masz w ręku konkretne dowody?

- Mnóstwo. Jest ustalone, że od opuszczenia domu dziecka Benson nigdzie nie skalał się pracą dłużej niż przez tydzień. Wspecjalizował się w okpiwaniu kobiet, głównie młodych, które padały ofiarą jego męskiego uroku. Jednak większość z nich nie miała dość pieniędzy, więc w końcu omotał podstarzałą, bogatą wdowę. Zaufała mu bezgranicznie i w krótkim czasie ograbił ją z oszczędności całego życia. Wpadł, gdy posłużył się ukradzioną jej kartą kredytową. Za to trafił do więzienia.

- I mówisz, że kiedy się spotkaliśmy, przebywał na wolności zaledwie od kilku dni? - zapytała cicho.

- Tak. Był w siódmym niebie, kiedy się dowiedział, że masz pieniądze. Jednak tym razem, zdając sobie sprawę, z jakim trudem je zdobyłaś, i widząc, że przewyższasz inteligencją dziewczyny, które dotąd

nabierał, postanowił działać ostrożnie. Twój pomysł własnego interesu wydał mu się sensowny i choć musiał czekać rok na jego realizację, zgodził się, tym bardziej że go utrzymywałaś.

Eleanor popatrzyła na Roberta wielkimi, szarymi oczami.

- Nie myślisz, że zmienił się wskutek pobytu w więzieniu? Może wtedy, gdy mnie spotkał, chciał naprawdę pójść prostą drogą?

- Nie - odpowiedział twardo, z bólem widząc, jak gaśnie w niej resztką nadziei. - Możliwe, że dostrzegł szansę stania się kimś lepszym, ale bardzo w to wątpię - dodał po chwili.

- Dlaczego tak uważasz?

Carrington westchnął ciężko.

- Jak myślisz, czemu przyznał ci starszeństwo partnerskie?

- Nie wiem.

- Bo znałaś jego prawdziwe nazwisko i był zmuszony go używać, więc kalkulował, że w razie jakiegoś niepowodzenia główna odpowiedzialność spadnie na ciebie. Z drugiej strony wejście w spółkę z tobą można uznać za sensowny ruch, który mógłby świadczyć o uczciwych intencjach Bensaona. Gdyby przykładał się w równej mierze do pracy, tak jak ty i...

- Ale przecież tak było! - przerwała impulsywnie.

- Kto urządził całe biuro w lokalu, który wyszukałaś?

- Ja, lecz tylko dlatego, że Dave był zajęty pozytywnym klientami.

- Nie wątpię, że był zajęty, ale raczej objaniem

się w salonach bilardowych niż załatwianiem realnych interesów. Ale nawet w takim układzie wasza firma zdołałaby się utrzymać, gdyby nie zaczął po kryjomu trwonić pieniądze.

Jasne, pomyślała, to dlatego wystawiony przeze mnie czek nie miał pokrycia. A była pewna, że mają na koncie wystarczającą sumę.

Dlaczego jednak, skoro potrzebował pieniędzy, po prostu nie poprosił o nie? Przecież dałaby mu! Jak mógł wydawać je za jej plecami? Jak mógł okłamywać ją, skoro twierdził, że mu na niej zależy?!

Czy rzeczywiście? Po raz pierwszy odsunęła emocje na bok i pomyślała, że Robert może mieć rację.

- Dowiedziałaś się wielu rzeczy o Bensonie - powiedziała spokojniej - lecz jest aspekt, którego nie poruszyłeś, dla mnie bardzo osobisty. Czy Dave mnie kochał? Czy naprawdę zamierzał... - umilkła, niezdolna do wymówienia dalszego ciągu zdania.

Carrington długo milczał, zanim znów zaczął mówić, powoli, dobitnie, patrząc Eleanor prosto w oczy.

- Wiem, jakie to dla ciebie ważne, więc powiem, że byłeś dla niego kimś wyjątkowym. W pewnym stopniu, na swój pokrętny sposób, usiłował traktować cię przyzwoicie. Lecz niestety, w sumie wykorzystywał cię równie bezlitośnie jak inne swoje ofiary.

Eleanor zacisnęła pięści w udęce i przecząco pokręciła głową.

- Zastanów się - naciskał Robert. - Gdyby cię kochał, czy postępowałby tak samolubnie? Czy podarował ci coś kiedykolwiek?

- Pierścionek zaręczynowy.

- Tandetę, za którą zapłacił centy! Czy opiekował się tobą w chorobie? Pocieszał cię, gdy byłaś smutna? A może był przy tobie, kiedy czułaś się samotna?

- Nie - przyznała cicho.

- Wobec tego dziwię się, że nie dostrzegłaś tego wcześniej.

- Może się bałam, może nie chciałam niczego wiedzieć. Nie dopuszczałam myśli, że mu wcale na mnie nie zależy. Ja... po prostu chciałam... musiałam myśleć, że Dave mnie kocha, że chce się ze mną ożenić. Przecież wiesz, jak silny był we mnie głód miłości, akceptacji. I możliwe, że...

- Już czas, żebyś przestała się czepiać fałszywych nadziei - rzekł Carrington niemal gniewnie. - I pora, abyś pogodziła się z faktem, że Benson cię nie kochał i nie miał najmniejszego zamiaru żenić się z tobą.

- Znów wiesz na pewno, tak?

- Wiem. Ponieważ ma już jedną żonę.

- Cooo? Niemożliwe!

- Przykro mi powiadamiać cię o tym tak brutalnie, ale wiedz, że jest żonaty od prawie trzech lat.

A więc był już z inną wtedy, gdy mówił o utrwaleniu ich partnerstwa małżeństwem! Pierścionek miał być ochłapem, rzuconym jej na odczepnego.

- Jego żona ma na imię Tony.

Eleanor zagryzła wargi do krwi. Ileż razy Dave wymieniał to imię, a ona, idiotka, myślała, że mówi o swoim ukochanym kumplu.

Przez ułamek sekundy, gdy usiłowała sobie przy-

swoić ogrom porażających wiadomości, poczuła ukłucie bólu, jak po otrzymaniu śmiertelnej rany.

- Jego żona nie cierpi być sama i wściekała się, kiedy go przy niej nie było - kontynuował Robert. - Między innymi dlatego nie chciał na dłużej opuszczać Londynu.

- Jeśli o tym wszystkim wiedziałeś - odezwała się cichym głosem - dlaczego upierałeś się, żebyśmy nocowali w Greyladies? Musiałeś mieć jakiś powód.

- Owszem. Chciałem, żeby Marshall, mój prywatny detektyw, mógł bez przeszkód zebrać informacje o Bensonie. W sobotę wieczorem zadzwonił do mnie i złożył sprawozdanie. Po usłyszeniu tego, co miał mi do powiedzenia, pojechałem do Londynu, żeby osobiście sprawdzić pewne fakty. Odwiedziłem wtedy żonę Dave'a i odbyłem z nią długą, bardzo szczerą rozmowę. W zamian za pewne obietnice powiedziała mi sporo o poczynaniach męża, a w szczególności o tym, jak tobą manipulował. Był bowiem tak cyniczny, że opowiadał jej o wszystkim, a ona... Cóż, tak jak i ty została przez niego kompletnie otumaniona. Przerażający jest rozmiar podłości tego człowieka i ta straszliwa bezduszność. Kiedy wróciłem w środę do Greyladies, byłem tak wściekły, że gdybym natknął się na Bersona, porachowałbym mu kości.

- Ale nie było go pod ręką. I wtedy wzięłeś mnie do łóżka. Czy tylko ze współczucia?

- Bynajmniej. Nie sypiam z kobietami dlatego, że *mi* współczuję. A jeśli nie widzisz różnicy...

- Przepraszam - powiedziała pospiesznie, widząc,

że na serio się rozgniewał. - Nie powinnam tak zareagować. Po prostu jestem... - głos się jej załamał i była bliska płaczu.

- W porządku, kochanie - Robert lekko uściśnął jej rękę. - Uspokój się. Wiem, co teraz czujesz. To okropne dowiedzieć się, że ktoś, kogo kochamy, zachował się nikczemie.

- A jego... żona? - Wymówienie tego słowa nie przyszło Elli łatwo. - Czy ona...

- Tak. Chociaż nigdy nic przed nią nie ukrywał i ona wie dokładnie, co z niego za ziółko, nadal go kocha. I tak jak ty wierzy, że na swój sposób mu na niej zależy. Mówiła mi, że w ciągu minionych trzech miesięcy był śmiertelnie wystraszony stanem jej zdrowia. Ona oczekuje dziecka i zanoszą się na bardzo trudną ciążę, połączoną z dużymi wydatkami. Stracili już jedno dziecko - była w ciąży, kiedy się pobierali. Teraz potrzebne są specjalistyczne, niezwykle kosztowne zabiegi. Zapewne dlatego postanowił zwędzić moje dziesięć tysięcy i ulotnić się.

- Ona o tym wie?

- O, tak. Była we wszystko wtajemniczona. Mieli cichaczem zniknąć w chwili, gdy Benson wypłaci pieniądze. Mieszkają w marnej klitce, jednak czynsz jak na Londyn jest niski i ona nie miała ochoty na przeprowadzkę. Uznała jednak, że za dziesięć tysięcy skórka jest warta wyprawki.

- W takim razie dobrana z nich para - mruknęła Ella.

- Owszem. Aczkolwiek była przeciwna temu, by małżonek wchodził w kolizję z prawem, chociaż nie

miała żadnych skrupułów, że naciąga inne kobiety. W gruncie rzeczy była dumna z podstępu, dzięki któremu Benson utrzymywał ich oboje twoim kosztem, udając, że studiuje. Naprawdę zależało jej tylko na tym, aby pozostał bezwzględnie wierny.

- Teraz widzę, jak bardzo się dla niej starał - powiedziała gorzko Eleanor.

- I całe szczęście - stwierdził Robert z rozbrajającą szczerością. - Kiedy wyglądało na to, że nie śpiacie ze sobą, zacząłem mieć nadzieję. A gdy wyszło na jaw, że nigdy nie byliście kochankami, nie mogłem uwierzyć we własne szczęście.

- Nie byłoby ci przyjemnie zbierać resztki... - rzuciła z goryczą.

- Z mojego punktu widzenia nic by to nie zmieniło. Prawdę mówiąc, wciąż nie pojmuję, jak Bensonowi udało się powstrzymać od uwiedzenia cię.

- Nawet gdyby nie miał zazdrosnej żony, wątpię, czy uznałby, że warto pójść ze mną do łóżka.

- Kochanie, nie bądź głuptasem. Nie ma mężczyzny o zdrowych zmysłach, który by tego nie chciał.

- On z pewnością nie. Właściwie nigdy nie przejawiał chęci, by mnie choćby dotknąć. Tłumaczyłam sobie, że wskutek swego sieroctwa nie potrafi ujawniać odczuć, podobnie jak ja. Ale w głębi serca chyba wiedziałam, że nic do mnie nie czuje. Nie pociągałam go fizycznie. Mimo to trzymałam się kurczowo marzenia o wspólnej przyszłości.

- Nie było sensu tego ciągnąć - powiedział miękko Robert. - Nie chciałybyś, prawda?

- Nie. Lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, niż żyć w raju głupców.

Tyle że teraz nie ma nic. Ani Dave'a, ani pieniędzy, ani firmy. Spełnił się najgorszy scenariusz.

- Dziękuję ci za to, że wreszcie otworzyłeś mi oczy - odezwała się, wstając, i skierowała na oślep ku wyjściu.

- Eleanor... - usłyszała swoje imię, wymówione z takim uczuciem, że odwróciła się i wpadła w objęcia Roberta jak ktoś, kto wraca do domu z dalekiej podróży. Wtuliła głowę w jego ramię, szukając ukojenia.

Robert po prostu stał i trzymał ją, nie próbując całować.

W końcu, zdając sobie sprawę, że jeśli się nie ruszy, w ogóle nie odejdzie, Ella wysunęła się z jego uścisku i ruszyła do drzwi.

W tej samej sekundzie wyrósł przed nią, blokując drogę.

- Czemu nie zostaniesz? - spytał, biorąc ją pod brodę i unosząc jej twarz ku swojej twarzy.

- Nie chcę twojej litości - powiedziała.

- To bardzo dobrze, bo nie możesz na nią liczyć.

- Nie chcę też, żebyś się ze mną kochał.

- Nawet nie będę próbował - zapewnił cierpliwie.

- Ale nie powinnaś być teraz sama. Potrzebny ci jest ktoś, do kogo się w nocy przytulisz.

Spojrzała mu w oczy i nie dostrzegła w nich litości, tylko troskę i czułość.

Ach, gdyby nie Zoe...

- Chodź - poprosił, biorąc ją za rękę. - Jestem gotów pożyczyć od Tompkinsa piżamę, jeśli przeszkadza ci, że sypiam nago.

- Nie chodzi mi o to, że będziesz nagi...

- A o co? Już trochę za późno na konwenanse.

- Miałam na myśli Zoe.

- Zoe? - zdziwił się. - Dlaczego akurat przysłała ci do głowy?

- Ona chce do ciebie wrócić. Tylko nie zaprzeczaj!
- dodała szybko.

- Wcale nie mam zamiaru zaprzeczać - odparł spokojnie.

- Jak możesz być taki obojętny, widząc, że ona wciąż cię kocha? Jeśli chcesz podsycać w niej zazdrość, nie rób tego moim kosztem, bardzo cię proszę.

- Nie przypuszczałem, że masz o mnie aż tak kiepską opinię. Zapewniam cię, że nie staram się wzbudzić w niej zazdrości. Być może Zoe chce, żebym do niej wrócił, ale to wcale nie znaczy, że mnie kocha. Nigdy nie kochała. Wielbiła wyłącznie moje pieniądze. Kiedy dziadek umarł i odziedziczyłem jego posiadłość, pomnażając swój majątek, musiała ciężko odchorować stratę.

- Ale gdyby nie śmierć dziadka...

- Chcesz powiedzieć, że mogłaby wrócić? Nie. Nic już nie zmieni mojej decyzji, lecz ona jeszcze się łudziła, przynajmniej do dzisiaj. Zapewne doszła do wniosku, że nadszedł czas, by działać. Jej kochanek został wysłany za granicę, a w jednym z magazynów napisano, jaki to ze mnie zatwardziały kawaler, co mogło ją skłonić do przypuszczenia, że nadal ją ko-

cham. Poza tym miałem dość czasu, by trochę ochłónać. Pamiętasz, że sama to przyznała?

- Tak...

- O co chodzi? - spytał, patrząc z niepokojem na wciąż zafrasowaną twarz Elli.

- Ona jest taka piękna... Kochasz ją nadal?

- Nie, Eleanor, nie kocham jej. Jeśli mi nie wierzysz, lepiej sobie idź - powiedział, otwierając drzwi.

- Jeśli zostaniesz, opowiem ci, jak doszło do naszego rozstania.

- Dobrze, proszę - odparła potulnie.

- To było tak - zaczął bez wstępów, dając znak, aby siadła obok niego na kanapie. - Za tydzień miał być ślub. Wieczorem wróciłem wcześniej do domu i już-już miałem wejść do salonu, gdy usłyszałem, jak Zoe mówi do swojej druhny Bridget: „Nie kocham Roberta, ale jest dobry w łóżku i ma kupę forsy. To się liczy. Nie uśmiecha mi się praca dla bogatych babsztyli ani życie z pensji państwowego urzędnika niższej rangi. Szkoda tylko, że to nie Simon ma ten majątek”. W jednej chwili świat mi się zawalił. Naiwny, głupi osioł, pomyślałem. Wierzyłem jej, kiedy się zaklinała, że kocha tylko mnie, a Simon nic już dla niej nie znaczy!

Zamilkł na chwilę, wzburzony fatalnym wspomnieniem, ale opanował się i ciągnął dalej.

- Bridget odpowiedziała, że rezygnacja z własnej kariery zawodowej i wychodzenie za mąż dla pieniędzy jest sporym ryzykiem i na dłuższą metę może się nie sprawdzić. Na to Zoe stwierdziła: „Będę miała Simona w odwodzie dla urozmaicenia, a jak się okaże,

że się śmiertelnie nudzę, zawsze mogę się rozwieść. Znasz porzekadło 0 udanym małżeństwie i jeszcze bardziej udanym rozwodzie? Będę nie tylko wolna, ale i bogata". W tym momencie nie wytrzymałem. Wpadłem do pokoju jak burza. Zorientowała się, że wszystko słyszałem, i usiłowała obrócić to w żart, co tylko pogorszyło sprawę. Byłem tak wściekły, że dałem jej pół godziny na spakowanie się i zniknięcie. Widząc, że to nie przelewki, zagroziła, że wywoła skandal i obsmaruje mnie we wszystkich gazetach, opowiadając, jak wyrzuciłem ją z domu w ślubnej sukni. Ostrzegłem, że jeśli wykona ten ruch, to chociaż nie znoszę rozgłosu, powiem mediom, dlaczego tak postąpiłem. Jeśli jednak pójdzie po rozum do głowy i będzie siedziała cicho, może zatrzymać pierścionek oraz wszystko, co jej kupiłem, włącznie z prezentem ślubnym w postaci sportowego auta. W końcu zgodziła się.

- Wybacz mi - powiedziała Eleanor i zabrzmiało to bardzo szczerze. - Musiałeś być zdruzgotany.

- Owszem, przez długi czas nie mogłem się pozbierać. Teraz jestem wdzięczny losowi, że w porę odkryłem prawdę. Nasze małżeństwo byłoby piekłem. Za wiele nas różniło, łącznie z tą fundamentalną różnicą, że ja ją kochałem, a ona mnie nie. Zoe ma urodę i styl, lecz jest zimna i wyrachowana. Z drugiej strony - dodał w zamyśleniu - okazała się konsekwentna, jeśli chodzi o Simona. Choć gotowa była wyjść za mnie dla pieniędzy, widziała dla niego „miejsce" w swoim małżeństwie. Trochę przypomina to twojego Dave'a i jego żonę, nie uważasz?

- Tak, ale nie mówmy o tym więcej. - Ella wzdrynęła się. - Więc nie żałujesz, że się rozeszliście?

- Dlaczego o to pytasz?

- Kiedy mówiłeś o wydarzeniach ostatniej doby, powiedziałeś, że przyjazd Zoe do Greyladies... jest wspaniałym wydarzeniem.

- Głuptasie, nie to miałem na myśli! Ta wspaniała rzecz nie miała nic wspólnego z Zoe. Chodziło mi o naszą ostatnią noc.

Eleanor poczuła, jak zagarniają fala szczęścia. Bezwiednie uniosła twarz do pocałunku. Wystarczył lekki dotyk warg Roberta, aby jej ciałem, niby prąd elektryczny, wstrząsnął zmysłowy dreszcz.

Było to nie tylko fizyczne pożądanie, ale potężne pragnienie oddania mu się bez reszty.

Lecz Carrington zdawał się tego nie wyczuwać.

Nawet gdy objęła go za szyję i rozchyliła usta, jego pocałunek pozostał neutralny, prawie braterski. W przypływie desperacji mocniej przywarła do jego piersi. Nie zareagował. Opuściła ramiona i odsuwając się od niego ze wstydem, odezwała się głuchym głosem:

- Wybacz, chyba wyciągam pochopne wnioski... Jeśli Dave mnie nie chciał, dlaczego ty miałbyś mnie chcieć?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chciała odejść, lecz Robert chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Oczywiście, że cię chcę!
- Przecież czułam, że mnie odtrącasz.
- Zapomniałaś, jak mówiłaś, że nie życzysz sobie, abym się z tobą kochał? Obiecałem, że nawet nie będę próbował, ale niestety nie jestem z drewna.

Robert, widząc, że Ella się waha, szarpnął pasek, ściągnął z siebie szlafrok i odrzucił na bok.

- Czy nadal uważasz, że cię nie pragnę? - zapytał zduszonym głosem.

Spojrzała w dół i oblała się rumieńcem.

- Nie chcę tylko - dodał z naciskiem - żebyś rano, po obudzeniu, miała do siebie żal jak poprzednim razem.

- Absolutnie nie! - zapewniła z przekonaniem. - Przedtem też tego nie żałowałam. Miałam jedynie wyrzuty sumienia ze względu na Dave'a.

- Dlatego chciałbym postawić sprawę jasno. Jeśli ty i ja - dwie dorosłe osoby - idą ze sobą do łóżka, *i* mojej strony nie jest to bynajmniej przejaw współczucia ani zabieg leczniczy. Chodzi o czystą przyjemność, o radość, którą sobie wzajemnie dajemy.

- Podpisuję się pod tym rękami i nogami - zachichotała.

- W takim razie chodźmy do łóżka - oznajmił radośnie i wyszedł z saloniku, znikając za otwartymi drzwiami sypialni. Ella spodziewała się, że porwie ją na ręce i uniesie ze sobą, toteż przez sekundę czy dwie stała zawiedziona, nie ruszając się z miejsca.

Po czym, pojąwszy, że została poddana swojego rodzaju próbie, poszła w ślad za Robertem. Stała na dywanie i zaczęła rozpinać guziki szmizjerki. Robert przyglądał się jej, wyciągnięty na wielkim łożu, z rękami pod głową.

Wyglądał jak sułtan, oczekujący swej nałożnicy. Eleanor poczuła suchość w gardle. Ciało napięło się w oczekiwaniu.

Pod bacznym wzrokiem mężczyzny pozbyła się sukienki, odpięła stanik i zsunęła z bioder majteczki.

Zupełnie naga, dojmująco świadoma męskiej obserwacji, uniosła głowę i popatrzyła na Roberta.

Uśmiechał się nieznacznie. Poczuliaby się zażenowana, gdyby wyraz jego oczu nie powiedział jej wszystkiego, co chciała wiedzieć. Może nie jest piękna, ale wystarczy, że on tak uważa.

Odprężona, położyła się obok niego.

- Jak ci się podobał mój striptiz? - spytała figlarnie.

- Rozkoszny i bardzo podniecający - odparł z uśmiechem i nagle szybkim, zaskakującym ruchem pociągnął ją ku sobie. Trzymając Ellę jedną ręką za głowę, a drugą za pupę, przyssał się do szyi i ukąsił ją miłośnie.

Chichocząc, zaczęła się wrywać, ale przetoczył ją na bok i przygwoździł swoim ciężarem.

W mgnieniu oka oboje ogarnął ogień pożądania.

Początkowo brał ją pospiesznie, władczo, ostro; później wolno, łagodnie, lecz nie mniej intensywnie, a wreszcie w sposób ekscytująco leniwy i pomysłowy.

W końcu Eleanor zasnęła z błogim poczuciem spełnienia, uszczęśliwiona radością, jaką się oboje obdarowali. Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko. Była sama w łóżku, ale to w niczym nie umniejszało euforii. Leżała bez ruchu, ożywiając w pamięci minioną noc i nic już nie było w stanie przyćmić ogarniającego ją poczucia wolności. Brzemie zależności od Dave'a, potrzeba dogadzania mu, obawa, że nie zdoła go przy sobie utrzymać - wszystko rozwiało się jak poranna mgła.

Jakże różniły się jej uczucia do jednego i do drugiego mężczyzny!

To, co z początku czuła do Dave'a, wzięło się z dziecięcej adoracji. Gdy potem go spotkała, zadecydowała życiowa potrzeba pokochania kogoś.

Z Bensonem czasem się rozumiała, ale nigdy na płaszczyźnie duchowej. Z Robertem rozumiała się pod każdym względem.

Dotychczas wmawiała sobie, że z Carringtonem łączy ją jedynie więź czysto fizycznej natury. Było jednak oczywiste, że chodzi o więcej. Pokochała w tym człowieku wszystko - inteligencję, delikatność i wrażliwość, męski wygląd. Kochała samą jego obecność i kochała go, gdy się z nią kochał.

Pasowali do siebie, lubili to samo - wieś, zwierzęta,

książki, muzykę. Robert ją rozumiał. Rozśmieszał ją, wzruszał i dostarczał zapierających dech uniesień.

Gdyby jeszcze ją kochał...

Trudno, nie można mieć wszystkiego.

Popatrzyła z westchnieniem na zegarek. Prawie wpół do jedenastej. Trzeba wstać i stawić czoło problemom, które nagle zwały się jej na głowę.

Wzięła prysznic, włożyła džinsy i bawełniany top, a włosy związała w kucyk. Nagle, pod wpływem impulsu, poszła do sypialni Dave'a i zajrzała do szafy. Była pusta. Nie zostawił nawet wieszaka.

Obojętnie wzruszyła ramionami. Nie czuła gniewu.

Na dole spotkała panią Tompkins.

- Śniadanie, panno Smith? - spytała usłużnie gospodyni.

- Nie, dziękuję pani.

- Może dzbanek mocnej kawy? Podać na tarasie?

Pogoda jest piękna.

- Świetnie. Czy Robert...

- Wyjechał wcześniej rano. Ma wrócić na lunch.

Eleanor wypła kawe, po czym poszła się przejść do ogrodu w asyście Paddingtona z nieodłącznym patykiem w pysku. Zbliżając się do miejsca, gdzie zgubiła pierścionek, ujrzała Jacksona, który z widłami w rękach zabierał się do usuwania roślin.

- Dzień dobry, panienko - powitał ją wesoło. - Ładny dzionek, prawda?

- Tak, bardzo ładny.

- Wiem od pana o pierścionku. Wykarczuję tu wszystko i znajdzie się.

- Nie trzeba, Jackson.
- Panienska go znalazła?
- Nie. Ale nie zależy mi już na nim. Był tani, więc to żadna strata.

- Na pewno, panienko?
- Na pewno. Dziękuję, Jackson.

Poszła dalej, aż do stawu, po czym zawróciła do ogrodu i siadła na kamiennej ławce. Rzucając raz po raz patyk psu, próbowała nie myśleć o niepewnej przyszłości, lecz cieszyć się pożegnalnym spacerem.

Zdażyła pokochać Greyladies, lecz nadeszła pora pożegnania z tym pięknym miejscem. Szkoda, że Robert nie jest po prostu zwykłym człowiekiem. Gdyby był biedny i chciał z nią być, podążyłaby za nim na koniec świata, gotowa mieszkać w marnej chacie i spać na gołej ziemi, byle mogli być razem.

- A więc to tutaj się skryłaś - niespodziewanie wyrósł przed nią, jakby przywołała go myślami. Przyglądał się jej spokojnie, bez uśmiechu. - Jak się dziś miewasz? - spytał, siadając obok.

- Dziękuję, świetnie. Podjęłam właśnie decyzję, co mam dalej robić.

- To znaczy?

- Jako główny partner w nieistniejącej firmie jestem winna dostawcom tysiąc pięćset funtów, a może więcej.

- Mogę cię uspokoić, już uregulowałem te sprawy.

- W takim razie jestem ci wdzięczna. Z tym, że teraz jestem zadłużona u ciebie na...

- Nie mówmy o tym - uciął.

- ...na dziesięć tysięcy funtów - dokończyła zawzięcie.

- Powiedziałem, że nie ma sprawy.

- Udało ci się je odzyskać? - spytała z nadzieją.

- Nawet nie próbowałem.

- Ale zawiadomiłeś policję?

- Nie. Wspomniałem ci, że żona Bensona wyznała mi pewne rzeczy w zamian za określone gwarancje. Jedną z nich było niepowiadamianie policji.

- Dzięki temu - ciągnął - nie muszą uciekać i mogą pozostać tam, gdzie są. Obiecałem też, że jeśli Dave znajdzie pracę i spróbuje żyć uczciwie, pozwolę im zatrzymać moje pieniądze. Niewątpliwie jego małżonce zależy, aby nie poszedł znów za kratki, więc dopilnuje, by nie napytał sobie biedy. Zwłaszcza że zobowiązałem się pokrywać koszt opieki medycznej, jakiej wymaga jej zagrożona ciąża.

- To bardzo wspaniałomyślny gest - powiedziała powoli Eleanor - ale nie rozumiem, czemu...

- Powiedzmy, że stać mnie na taki gest.

- Nie myślisz, że... - zawahała się.

- Benson znów mnie wykiwa? - podchwycił. - Na wszelki wypadek nie dałem mu pieniędzy do ręki; będę regulował rachunki bezpośrednio z kliniką.

- Mogę o coś zapytać?

- Tak.

- Kiedy zacząłeś sprawdzać Dave'a?

- Jakieś dwa, trzy tygodnie temu.

- Zanim zjawiłeś się u nas w biurze?

- Zgadza się.

- Skoro znałeś jego przeszłość, dlaczego dałeś nam tę pracę?

- To był tylko pretekst. Chciałem poznać ciebie, zobaczyć, jakim jesteś człowiekiem i jak mają się sprawy między tobą a Bensonem. Kiedy wyrobiłem sobie pogląd na sytuację, zaoferowałem wam pracę, bo pragnąłem cię ściągnąć do Greyladies. W tamtym momencie nie zależało mi jeszcze, żebyś dowiedziała się prawdy. Miałaś przyjechać do rezydencji nieprzygotowana, abym mógł przekonać się, czy cokolwiek pamiętasz.

- Nic z tego nie rozumiem... - powiedziała tępo.

- Bo to długa i dość skomplikowana historia. Zjedźmy teraz lunch, a potem opowiem ci wszystko.

W czasie lunchu odzywał się rzadko, a gdy wypili kawę, wstał i bez słowa poprowadził ją do biblioteki. Kiedy usiedli na skórzanej kanapie, Robert zapytał bez wstępów:

- Prawda, że od początku Greyladies zdawało ci się znajome, tak jakbyś tu już kiedyś była?

- Tak, pewnie przez ten artykuł.

- Jednak refektarz i stara kuchnia, które były najbardziej wyeksponowane w reportażu, nie wydały ci się znajome.

- Owszem, więc tym bardziej dziwne...

- Wcale nie - przerwał jej niecierpliwie. - Ten fakt potwierdził jedynie, że to nie zdjęcia w magazynie spowodowały u ciebie nawrót pamięci. Po prostu ta część domu od dawna wymagała remontu i podczas twojej bytności była nieczynna i niedostępna. Nato-

miast hol i klatka schodowa pozostały w użyciu i dlatego je rozpoznałaś. Mało tego, zapamiętałaś, gdzie w mojej sypialni powinny być drzwi do łazienki, gdyż spałaś w tym pokoju, zanim uległ przeróbce.

- Chcesz powiedzieć, że byłam kiedyś w Greyladies? Skąd przyszedł ci taki pomysł do głowy?

- Po przeczytaniu dziennika, który prowadził Josh. Robił zapiski do końca życia, dopóki mógł utrzymać pióro w ręku. Kilka miesięcy temu, przeglądając papiery dziadka, natrafiłem na ów diariusz. Jest to przejmująca historia miłości, która trwała czterdzieści lat i nie doczekała się szczęśliwego zakończenia. Byłem ciekaw, jak potoczyły się losy jej bohaterów, więc zacząłem grzebać w przeszłości.

Eleanor słuchała, coraz bardziej zafascynowana.

- Najpierw opowiem, jak to się zaczęło. Kiedy Josh miał dwadzieścia lat, zakochał się po uszy w siedemnastoletniej dziewczynie. Nazywała się Jenny Linton. Nigdy się nie pobrali i prawie zawsze żyli rozdzieleni, lecz była to bez wątpienia miłość jego życia.

- A ona? Czy go kochała? - zapytała z przejęciem Ella.

- Tak. Kochała go. Ale byli bardzo młodzi, gdy się poznali, i zbieg okoliczności sprawił, że ich drogi się rozeszły. Potem ona wyszła za męża, on się ożenił i na długo stracili ze sobą kontakt. Byli już w dojrzałym wieku, gdy los znowu ich zetknął. Dziadek został wdowcem, a Jenny wciąż miała męża. Był to znany biznesmen, z pochodzenia Amerykanin. Nazywał się Elmer Sheering. Ani jedno, ani drugie nie zaznało

szczęścia w małżeństwie. Elmer był człowiekiem zimnym, małostkowym, Jenny nie żyło się z nim łatwo. Jednak mimo to - jak pisał dziadek w swoim dzienniku - pozostała tą samą uroczą, ciepłą kobietą, dzielną i pełną radości życia. Miała z Elmerem córkę o imieniu Sara, która w wieku piętnastu lat zaszła w ciążę. Sprawca był o rok starszy i choć pochodził z porządnej rodziny, odzegał się od wszelkiej odpowiedzialności. Sheering zadrezczał córkę i kiedy dziecko miało kilka miesięcy, Sara uciekła z domu, zostawiając małżeństwo rodzicom. Rozwścieczony ojciec wyrzekł się córki, zakazał Jenny kontaktowania się z nią i kazał niechcianą wnuczkę umieścić w przytułku. Jednak Jenny nie usłuchała męża. Pomagała Sarze finansowo i sama wychowywała dziewczynkę. Tak, Eleanor, Jenny Linton to twoja babcia - oznajmił uroczyście Robert. - Stąd twoje podobieństwo do kobiety z portretu. Mam zrobić przerwę, żebyś trochę ochłonęła, czy mówić dalej? - zaniepokoił się, widząc, że pobladła.

- Mów dalej - ponagliła ledwie słyszalnym szepem.

Sheering, nie przywykły do sprzeciwu, na każdym kroku uprzykrzał życie żonie, a kiedy miała już tego dosyć, zostawił ją i wyjechał do Stanów. To właśnie w tym czasie Josh i Jenny znów się spotkali i okazało się, że nadał się kochają. Dziadek nalegał, żeby się rozwiodła i wyszła za niego, lecz ona się wahała. Uważała, że przysięga małżeńska jest rzeczą świętą. Poza tym Sheering stanowczo odrzucił propozycję rozwodu i zagroził, że jeśli go opuści, zostanie bez środków do

życia. Wówczas Josh oświadczył, iż z radością weźmie je obie do siebie. Elmer skruszał. Obiecał, że jeżeli Jenny zerwie wszelkie kontakty z dziadkiem i wróci do Stanów, zaakceptuje wnuczkę i postara się wszystko naprawić. Jenny przystała na to i minęło sześć lat, zanim znów dała znać o sobie. Zadzwoiła nagle, mówiąc, że przyjechała z wnuczką do Londynu na ślub Sary. Zapytała, czy mogłaby odwiedzić Josha w Greyladies. Dziadek okropnie się ucieszył i chciał po nie wysłać auto. Jednak Jenny powiedziała, że na czas pobytu w Anglii kupiła mały, używany wóz, co wypadło taniej niż wynajem. Samochód był jej potrzebny, bo przy okazji pragnęła odwiedzić nieuleczalnie chorą przyjaciółkę w Kornwalii.

Jak się domyślasz, dziadek powitał je w Greyladies z otwartymi ramionami. Jenny wyznała mu, że pożycie z Elmerem nie układa się najlepiej; małżonkowie rozważali nawet separację. W czasie kilku tygodni, jakie miała spędzić w Anglii, chciała sobie wszystko spokojnie przemyśleć, a po powrocie do Stanów podjąć wspólnie z mężem ostateczną decyzję. Dziadek namawiał ją oczywiście, by została, ale powiedziała, że dała mężowi słowo i dotrzyma go. Kiedy nadszedł dzień ślubu córki, Jenny, ku zdziwieniu dziadka, zostawiła u niego małą. Wyjaśniła, że przyszły mąż Sary nic nie wie o nieślubnym dziecku panny młodej. Jenny namawiała córkę, by mu to wyznała, lecz Sara obawiała się, że wówczas nie zechciałby się z nią ożenić. I tak babcia pojechała do Londynu, a dziewczynka została z Joshem. Pisał, że poszli na długi spacer po zaśnie-

TAJEMNICZY MILIONER

żonym parku, a potem siedzieli przy kominku, piekąc racuszki. Nazajutrz Jenny wróciła i cała trójka spędziła razem w Greyladies cudowne trzy tygodnie. Tego samego dnia, kiedy Jenny wyruszyła z tobą do Konwalii, Josh udał się w kilkutygodniową podróż w interesach na Daleki Wschód. Rozstawali się niechętnie i Jenny obiecała, że jeśli nawet Elmer nie zgodzi się na separację, przywiezie małą do Greyladies i zamieszka z Joshem. Wymogła jednak na dziadku przyrzeczenie, że jeśli nie wróci i nie odezwie się, on ze swej strony nie będzie próbował nawiązać z nią kontaktu.

Robert sięgnął do kieszeni i wyjął mały, oprawiony w skórę brulion, pozakładany w paru miejscach paskami papieru.

- Zacytuję ci teraz niektóre uwagi dziadka o tobie - powiedział. Na przykład: „Tak jak i jej babcia, ma pewien dar przenikliwego widzenia świata, który jest moim zdaniem urzekający. Na widok witraży w oknach holu powiedziała, że to tak jakby mieszkać wewnątrz tęczy. Piękna myśl jak na dziecko”.

„Jest ujmująco łagodna, ciepła i wrażliwa, lecz posiada też rodzaj odporności psychicznej, który bardzo się jej w życiu przyda”.

„Pokochałem bardzo szybko to dziecko, tak samo jak kocham Jenny, i sądzę, że z wzajemnością. Będę się modlił, żeby obie do mnie wróciły”.

- Jaka szkoda, że nie pamiętam ani jego, ani babci - wyszeptała Eleanor z twarzą zalaną łzami.

- Może któregoś dnia przypomnisz ich sobie. Skoro opamiętałaś tyle, reszta na pewno spoczywa gdzieś

głęboko w pokładach pamięci. A gdybyś nawet nic sobie nie przypomniła - dodał, podając jej chustkę do nosa - przynajmniej teraz wiesz, kim jesteś.

- Wciąż nie wiem - odparła, ocierając łzy - gdzie się urodziłam, ile mam lat i jak naprawdę się nazywam.

- Urodziłaś się w Kent, szóstego marca. Nie miałaś jeszcze ośmiu lat, kiedy oddano cię do domu dziecka. Masz na pierwsze imię Claire, a na drugie - dziwnym zbiegiem okoliczności - Eleanor.

Przez dłuższą chwilę przetrawiała w myślach te wszystkie rewelacje.

. - A dlaczego nikt nie rozpoznał mnie po fotografii zamieszczonej w gazetach? - zapytała nagle.

- Josh był w Hongkongu, a kiedy wrócił, cała historia już przebrzmiała. Z zapisków w dzienniku wynika, że myślał, iż wróciłaś z Jenny do Stanów. Przez kilka miesięcy czekał na wiadomości, a potem stało się dla niego jasne, że się ich nie doczeka. Dotrzymując słowa, nie próbował kontaktować się z Jenny i nigdy nie dowiedział się prawdy. Pewnie zakładał, że postanowiła nie wracać do niego, i pogodził się z tym.

- Umarł niedawno, prawda?

- Tak.

- A matka? Nie widziała mojego zdjęcia w prasie?

- Chciałbym ci powiedzieć, że nie, bo wyjechała w podróż poślubną, ale tak nie było. Pamiętasz, mówiłaś mi, że pewnego dnia w sierocińcu, kiedy spałaś, zjawiła się jakaś młoda kobieta, która myślała, że cię zna?

- Ale stwierdziła, że się pomyliła.

- Nie starczyło jej odwagi, aby podjąć wyzwanie.
- Z obawy przed swoim mężem postanowiła porzucić mnie po raz drugi? - Wargi Eleanor zadrżały jak u skrzywdzonego dziecka.

- Tak - odparł ponuro Robert.

- Skąd wiesz?

- Bo podczas naszej pierwszej rozmowy sama mi się do tego przyznała. Nie chciała ryzykować utraty swego statusu i życia w luksusie.

- A więc moja matka to...

- Lady Sara Allenby. Niestety, córka wrodziła się w ojca i okazała się równie samolubna i bez serca, jak on. Wiedziała, że nie masz nikogo prócz niej, jednak bez zmrużenia oka zostawiła cię w przytułku. Nawet teraz bała się, że powiem wszystko jej mężowi. Dzięki temu zmusiłem ją do podania informacji, potrzebnych mojemu detektywowi, by cię odnalazł. Kiedy wykrył, że jesteś związana z Bensonem, na moje polecenie zaczął się przeświadcaniem jego przeszłości.

- Rozumiem. Ale moja... matka chciała mnie zobaczyć, prawda?

- To był jedyny ludzki odruch z jej strony. Gdy poprosiła mnie o zaaranżowanie spotkania z tobą, sądziłem, że zechce sama wszystko ci opowiedzieć. Niestety, stchórzyła. Ogromnie mi przykro - powiedział Robert, biorąc Ellę za rękę - że w przekonaniu, iż masz prawo znać całą prawdę, musiałem ci zadać tyle bólu.

- Prawda nie zabolowała mnie tak, jak myślałaś. Najbardziej liczy się dla mnie fakt, że byłem kochana przez

babcię i przez Josha. Moja przeszłość stała się dzięki temu mniej ponura.

Za to przyszłość... Sama myśl o wyjeździe z Grey-ladies i rozstaniu z Robertem sprawiła, że łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Do diabła z Bensonem! - Robert z głośnym okrzykiem porwał Ellę w ramiona i tulił z całych sił, aż uspokoiła się i zawstydzona swoją słabością wysunęła się z jego objęć.

Ujął jej lewą dłoń i w zamyśleniu potarł kciukiem palec, na którym nosiła pierścionek zaręczynowy.

- Czemu powiedziałaś Jacksonowi, żeby go nie szukał. Przestało ci już-zależać...?

- Tak.

- Chciałbym, żebyś to mogła również powiedzieć 0 Bensonie.

- Mogę. Kiedy obudziłam się dziś rano, uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Pierwszą - że jestem na niego zła, lecz nie złamał mi serca, i drugą - że, choć mi na nim zależało, nigdy naprawdę go nie kochałam. Przez długi czas wierzyłam w uczucie, bo było mi potrzebne. Każde dziecko z sierocińca pragnie kochać i być kochane. Pewnie dlatego przymykałam oczy na jego prawdziwą naturę. Teraz dopiero przejrzałam. Nie mogę pojąć, jak mogłam być tak głupia.

- Co teraz zamierzasz?

- Zacznę wszystko od nowa. Znajdę pracę, będę oszczędzać i spłacę ci dług co do pensa. Obiecuję.

- Jakiego rodzaju pracę masz na uwadze?

- Właściwie nie wiem. Jakakolwiek. Na mieszkanie

nie mogę sobie pozwolić, więc musi to być zajęcie połączone z darmowym dachem nad głową.

- Miałbym dla ciebie taką pracę.

- Nadal potrzebne ci biuro?

- Tak, lecz posada, jaką ci tym razem proponuję, ma charakter znacznie bardziej osobisty. Chciałbym, żebyś została moją żoną. Tak, Eleanor, nie przesłyszałaś się. Zakochałem się w tobie w chwili, kiedy cię zobaczyłem. Kocham w tobie to wszystko, co Josh - urodę ciała i ducha, wrażliwość i wewnętrzne ciepło.

Eleanor znieruchomiała bez tchu. Usłyszawszy to, co tak bardzo chciała usłyszeć, uznała własne szczęście za urojenie, które za moment rozplynie się jak sen. Wpatrywała się bez słowa w Roberta, jakby i on miał zaraz zniknąć.

Ten mężczyzna, tak zawsze opanowany i pewny siebie, wydał się nagle onieśmielony, speszony jej milczeniem. Po długiej chwili odezwał się ze słabym, wymuszonym uśmiechem:

- Ludzie, którzy mnie znają, mówią, że przypominam Josha. On ci się spodobał, może więc i ja mam szansę?

Patrząc mu w oczy, dostrzegła w nich uczucie i w jednej radosnej chwili pojęła, że marzenia stały się rzeczywistością.

Robert Carrington ofiarował jej coś, za co gotowa była oddać duszę - prawdziwą miłość.

Zdarzają się cuda na świecie.

Eleanor stała bez ruchu, wciąż niezdolna wykrztusić słowa.

Wzrok Roberta przygasł.

- Wybacz - powiedział smutno - zachowałem się jak nieczuły prostak, wyznając ci miłość zaraz po tych wszystkich rewelacjach. Naturalnie, trzeba ci trochę czasu, aby...

- Nie - powiedziała, rzucając mu się w ramiona.

- Nie trzeba mi czasu. Wiem, że cię kocham.

- Powtórz to - poprosił, odsuwając ją od siebie.

- Kocham cię... Kocham cię od...

Stłumił słowa Elli pocałunkiem, a potem wziął ją za rękę i w milczeniu poszli do sypialni.